



Susan Carlisle



Niedobrana para

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Doktor Ryan O'Doherty, neurochirurg dziecięcy nowojorskiego szpitala imienia Angela Mendeza, pochylił się nad małym pacjentem leżącym na oddziale intensywnej opieki medycznej.

- Usunąłem taką część guza, jak było to możliwe. Nie wyciąłem całego, bo nie mogłem ryzykować dodatkowego upośledzenia funkcji umysłowych.

Nigdy nie ukrywał prawdy przed rodzinami pacjentów. Wiedział, że jest wyjątkowo kompetentnym lekarzem i że zrobił wszystko, co było w jego mocy. Nie uważał się jednak za cudotwórcę. Rodzice muszą się z tym pogodzić.

- Rozumiem - odparł drżącym głosem ojciec chłopca. - Oboje z żoną zabierzemy go do domu i będziemy otaczać miłością... aż do końca.

Ryan kiwnął głową ze zrozumieniem. Był zadowolony, że jego rozmówca zachowuje się mężnie. Wiedział, że siła charakteru będzie mu bardzo potrzebna.

Usłyszał donośny sygnał swojego smartfonu. Dotknął ekranu, by uciszyć nieznośny hałas i spojrzał na nagraną wiadomość. Dział personalny. Zapomniał na śmierć o tym, że obiecał tam wpaść.

Czego mogą ode mnie chcieć ci biurokraci? - pomyślał z irytacją. Przecież wiedzą chyba, że nie siedzę w stołówce, tylko zajmuję się pacjentami.

- Pańskiego syna zbada jeszcze dziś szpitalny neurolog - powiedział do ojca chorego chłopca. - Wezwie mnie, jeśli będę potrzebny. A teraz, proszę mi wybaczyć, ale...

- Dziękuję za wszystko, co pan dla niego zrobił.

- Nie ma za co - odparł Ryan. - Na tym polega moja praca.

Dziesięć minut później brnął już przez labirynt korytarzy w kierunku działu personalnego. Dyrekcje wszystkich placówek medycznych z reguły lokowały ten dział w podziemiach budynku i w najdalszym jego kącie. Ryan był zatrudniony w szpitalu Angela Mendeza już od pięciu lat, ale odwiedził tę komórkę tylko jeden raz - kiedy podpisywał umowę o pracę.

Nie miał pojęcia, po co został wezwany. Poprzedniego dnia otrzymał e-mail z prośbą o przybycie.

Gdy zadzwonił, aby powiedzieć, że nie może się stawić, bo jest zbyt zajęty, Matherson, dyrektor personalny, stanowczo zażądał jego obecności. Ryan był pewny, że ta wizyta okaże

się dla niego stratą czasu. Nie mógł zrozumieć powodów, dla których nie próbowano załatwić z nim tej sprawy za pomocą poczty elektronicznej.

Choć, formalnie rzecz biorąc, figurował na liście pracowników szpitala, nie był przyzwyczajony do tego, że ktoś go wzywa do gabinetu. To raczej on wydawał polecenia lekarzom, toteż, wchodząc do działu personalnego, czuł się trochę nieswojo.

- Doktor O'Doherty - powiedział do siedzącej za biurkiem niepozornej sekretarki. - Zostałem wezwany przez pana Mathersona.

- Zaraz mu powiem, że pan przyszedł - oznajmiła urzędniczka, podnosząc słuchawkę.

On zaś tymczasem rozejrzał się po nieznanym mu sekretariacie i dostrzegł siedzącą na krześle dwudziestokilkuletnią kobietę. Kiedy uniosła głowę, by na niego spojrzeć, zauważył, że ma niebieskie oczy, w których maluje się tajemniczy smutek.

- Doktor O'Doherty już jest - powiedziała sekretarka, a potem słuchała przez chwilę głosu swojego niewidzialnego rozmówcy, spoglądając w kierunku obecnej w pokoju kobiety.

Ryan podążył za jej wzrokiem i przyjrzał się uważniej nieznanemu. Siedziała nieruchomo, trzymając dłonie na kolanach. W jej wyglądzie nie było nic szczególnego oprócz tych niebieskich oczu i długich gęstych włosów koloru pszenicy, które opadały na ramiona.

Miała na sobie szary kostium i skromną pomarańczową bluzkę. Ten niepozorny strój upodabniał ją nieco do wzorowej nauczycielki.

- Panno Edwards, pan Matherson prosi, żeby weszła pani do gabinetu razem z doktorem O'Dohertym - oznajmiła sekretarka.

Kim jest ta panna Edwards i co może mieć wspólnego ze mną? - spytał się w duchu Ryan, skupiając na niej wzrok. Była wysoka, miała smukłą sylwetkę świadczącą, że dba o siebie. Ich spojrzenia się spotkały.

Smutek, który wcześniej dostrzegł w jej oczach, ustąpił teraz miejsca wyrazowi zdecydowania. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a potem jej uwagę przyciągnął pan Matherson, pulchny łysiejący mężczyzna, który wyszedł z pokoju.

- Doktorze O'Doherty, panno Edwards, zapraszam do mojego biura.

Ryan puścił ją przodem.

- Wejdźcie, proszę, i usiądźcie - powiedział pan Matherson, kiedy stanął za biurkiem.

Panna Edwards zajęła jedno z winylowych bordowych krzeseł, a Ryan drugie.

- Doktorze, to jest Lucy Edwards. Właśnie dołączyła do naszego zespołu.

- Ryan O'Doherty - przedstawił się z lekkim uśmiechem, wyciągając do niej rękę.

Przez ułamek sekundy Lucy wahała się, a potem podała mu swoją drobną dłoń. Ryanowi spodobał się jej mocny uścisk. Spojrzał na Mathersona z niecierpliwością, czekając, aż powie, o co w tym wszystkim chodzi.

- Więc co nas tu sprowadza? - spytał po dłuższej chwili milczenia.

Matherson spojrział na Ryana takim wzrokiem, jakby nie był zadowolony z tego, że ktoś chce przejąć kontrolę nad spotkaniem, które on zorganizował. Odchrząknął.

- Panna Edwards jest psychologiem rodzinnym - oznajmił. - Ma bardzo wysokie kwalifikacje i pozytywną opinię z ostatniego miejsca pracy. Jak rozumiem, jest osobą, którą rodziny regularnie prosiły o wsparcie.

Kobieta poruszyła się na krześle. Była zażenowana tą pochwałą, na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Najwyraźniej nie lubiła być w centrum uwagi, co zaskoczyło Ryana. Wiedział z doświadczenia, że kobiety na ogół chętnie skupiają na sobie zainteresowanie. Zaczął się zastanawiać, dlaczego panna Edwards jest inna.

Matherson mówił dalej, jakby jego znakomita oracja była warta wysłuchania,

- Nasz szpital jest w trakcie opracowywania nowego programu pod nazwą „Skoordynowana Opieka Nad Pacjentem”, w którym łączymy w pary psychologów z lekarzami. Panna Edwards jest pana partnerką. Będzie pan z nią współpracował...

O co chodzi? Czyżby to było kolejne biurokratyczne przedsięwzięcie, które ma wywołać u pracowników szpitala dobre samopoczucie? - pytał się w duchu Ryan.

Pochylił się do przodu, przesywając wzrokiem pulchnego mężczyznę.

- Czy nie próbowaliśmy wprowadzić podobnego programu dwa lata temu? Czy nie stwierdziliśmy wówczas, że to nie jest dobry pomysł, że to nie przynosi żadnych rezultatów?

Matherson był na tyle dobrze wychowany, by zrobić skruszoną minę.

- Ten program jest trochę inny - oznajmił. - Wy będziecie parą próbną. Jeśli to się powiedzie, będziemy wymagać od innych oddziałów, żeby podążyły za naszym przykładem.

- Czy to konieczne? Jestem pewny, że panna... hm...

- Edwards - odpowiedziała kobieta chłodnym tonem.

- Jestem pewny, że panna Edwards i ja moglibyśmy wykorzystać nasz czas rozsądniej...

- Proszę nie mówić w moim imieniu - przerwała mu kobieta, która jeszcze przed chwilą siedziała sztywno. - Doktorze, mogę pana zapewnić, że im bliższe są wzajemne stosunki między lekarzem a psychologiem, tym lepiej dla pacjenta.

W jej głosie pobrzmiwał groźny ton, co dało Ryanowi do myślenia. Doszedł do wniosku, że ta kobieta musi mieć silny charakter. Uniósł brwi i uśmiechnął się.

- A więc uważa pani, że bliski kontakt z lekarzem ma duże znaczenie.

Na policzkach panny Edwards pojawiły się rumieńce. Matherson odchrząknął, ale Ryan postanowił go zignorować.

- Nie zamierzałem sugerować, że pani praca jest bezwartościowa - oznajmił. - Chodzi mi o to, że nie uważam, abyśmy musieli omawiać przypadek każdego pacjenta. Na ich kartach choroby może pani zapisywać uwagi dotyczące spraw, o których, pani zdaniem, powinienem wiedzieć... A ja będę mógł je przeczytać.

Wstał. Ku jego zaskoczeniu panna Edwards również podniosła się z krzesła i spojrzała mu prosto w oczy.

- Mogę pana zapewnić, doktorze, że będą nas łączyć stosunki wyłącznie... zawodowe - wycodziła przez zęby. Potem wzięła głęboki wdech i ciągnęła: - Pacjenci, a także ich rodziny, potrzebują wsparcia i komfortu psychicznego, których pan nie jest w stanie im zapewnić.

Masz całkowitą słuszność, pomyślał Ryan.

- To jest moja praca i wykonuję ją dobrze - oznajmiła, prostując ramiona.

- Jestem pewny, że to prawda, ale nie zamierzam tracić czasu na zebrania, skoro istnieje zupełnie dobry system komputerowy, którego można używać do korespondencji. A teraz, jeśli państwo wybaczą...

- Doktorze - zaczął Matherson, spoglądając na niego uważnie - nie wiem, czy w pełni pan zrozumiał, o czym tu mówiliśmy. Mamy ten program przetestować. Zarząd szpitala popiera go jednogłośnie. Wasza współpraca powinna być zauważalna i przynieść wam korzyści.

Ryan zacisnął usta. Matherson zrobił zawołaną aluzję do tego, że nie zaproponowano mu stanowiska ordynatora neurochirurgii dziecięcej i że taka współpraca będzie dobrze wyglądać w jego życiorysie.

Ryan przez dłuższą chwilę patrzył badawczo na Mathersona. Szpitalny gryziپیórek miał tyle przyzwoitości, że opuścił wzrok.

- Okej - powiedział, wruszając ramionami, a potem spojrzał na pannę Edwards. - Zatem tworzymy zespół.

Na twarzy Lucy odmalowała się nieufność. Czyżby chciała zakwestionować motywy, które popchnęły go do podjęcia tej decyzji?

- Więc sprawa załatwiona - oznajmił Matherson pogodnym tonem. - Zaczynajcie współpracę.

Lucy patrzyła na idącego korytarzem pół kroku przed nią, pochłoniętego sobą lekarza.

Trudno było jej zostawić za sobą całe życie i podjąć nową pracę w nieznanym mieście. Współpraca z kimś, kto ma jej za złe, że mu się narzuca, wydawała jej się wprost niemożliwa. Ale wobec braku wyboru musi jakoś to rozwiązać.

Matherson, na którego twarzy malował się lepki uśmiech, spytał Ryana, czy wraca na neurochirurgię, a kiedy ten odpowiedział potwierdzająco, miał czelność poprosić go, by oprowadził pannę Edwards po swoim oddziale. Lucy poczuła się okropnie zawstydzona, że szef działu personalnego zdegradował chirurga do roli przewodnika. Nie przyszedł jej jednak do głowy żaden taktowny sposób wyjaśnienia mu, że może zrobić to sama.

Kiedy wyszli z działu personalnego, Ryan O'Doherty przytrzymał drzwi, puszczając ją przodem.

Ktoś przynajmniej wpoił dobre maniery temu zarozumialcowi, pomyślała Lucy, Poza tym nic innego nie zrobiło na niej żadnego wrażenia.

Ale to nie cała prawda. Trudno było nie zauważyć jego szerokich ramion, przenikliwych niebieskich oczu i wysokiego wzrostu. W dodatku teraz jego długie nogi pokonywały wyłożoną kafelkami podłogę korytarza, a jej niezbyt często zdarzało się spotkać mężczyznę, który byłby od niej o tyle wyższy.

Ściskając mocno torebkę, podążała za nim. Z każdym krokiem coraz bardziej irytowało ją jego zachowanie. Mimo wszystko doceniała jednak to, że oprowadzi ją po oddziale. Nie miała nawet pojęcia, w którym miejscu ogromnego szpitala się znajdują.

Tego ranka, kiedy stała w Central Parku po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko głównego wejścia do szpitala, i podniosła wzrok, nie zaczęła nawet liczyć jego pięt. Oględnie mówiąc, ten szpital budził w niej grozę. Mimo to w mieszaninie starej i nowej architektury budynku było coś, co wywoływało zachwyt. Widząc jaskrawożółte i czerwone daszki znajdujące się nad wejściami, uznała, że to miejsce jest przyjazne.

Praca w dużej placówce medycznej nie była dla niej czymś nowym. Większość szpitali dziecięcych jest powiązana z olbrzymimi klinikami uniwersyteckimi, ale te, w których dotychczas pracowała, wydawały się znacznie mniejsze niż Angel Mendez.

Zerkając na idącego obok niej mężczyznę, doszła do wniosku, że nie jest on zbyt towarzyski. Doktor O'Doherty zatrzymał się przy windach i nacisnął przycisk.

W swojej pracy Lucy musiała umieć odczytywać i interpretować ludzkie myśli. Nieustępliwa i sztywna postawa doktora O'Doherty'ego sugerowała, że nie jest zadowolony z tego, że musi jej pokazać oddział zgodnie z poleceniem Mathersona. Wcale jej to nie dziwiło.

Zachowywał się jak typowy chirurg. Bardzo typowy neurochirurg. Pewny siebie, opany, skupiony wyłącznie na własnych problemach. Zdawała sobie jednak sprawę, że musi z nim współpracować, nie ma więc wyboru. Powinna dołożyć wszelkich starań, żeby ich wzajemne stosunki były poprawne.

Odchrząknęła, a potem uniosła głowę.

- Widzę, że ten układ nie bardzo panu odpowiada, prawda?

- Ma pani rację.

Jego niezadowolenie nie dodało jej odwagi. Skoro w ten sposób reaguje na proste pytanie, to nie mogła sobie wyobrazić, jak się zachowa, kiedy staną w obliczu jakiegoś poważniejszego problemu.

- Chciałabym, żeby nasza współpraca przebiegała w sposób możliwie bezkonfliktowy.

Drzwi windy otworzyły się, przerywając im rozmowę. Wsiedli do zatłoczonej kabiny. Kiedy Lucy poczuła na plecach dotyk klatki piersiowej doktora O'Doherty'ego i bijące od niego ciepło, lekko się wzdrygnęła. Po raz pierwszy od wielu miesięcy głęboko ukryty w niej lodowaty chłód na sekundę zniknął. Powrócił w chwili, gdy drzwi windy otworzyły się i Ryan z niej wysiadł. Lucy ruszyła za nim, a potem przystanęła.

- Czy coś się stało? - spytał, zatrzymując się.

- Nie. Po prostu zawsze dziwi mnie to, że część szpitala, w której są sale dla pacjentów, tak bardzo różni się od części służbowej. Te jaskrawożółte ściany działają na mnie tak, jakbym wyszła z ciemności w jasne promienie słońca.

- Nigdy nie zwróciłem na to uwagi. - Jego stwierdzenie wcale jej nie zdziwiło. - Czy trafi pani stąd do swojego pokoju?

Lucy rozejrzała się wokół siebie. Rozpoznała wiszący na ścianie oprawiony rysunek dziecka.

- Tak. Teraz już wiem, gdzie jestem - oznajmiła, a kiedy Ryan odwrócił się, chcąc odejść, zapytała: - Więc jak będziemy realizować ten plan skoordynowanej współpracy, doktorze?

Ryan przystanął, a potem spojrzał w jej stronę.

- Zamierzam w tej sprawie postępować tak jak zawsze - odparł. - Należy czytać karty choroby, panno Edwards.

- Pan Matherson dał do zrozumienia, że to nie wystarczy. Może nie podobać się panu ten pomysł, ale oczekuję, że zrobi pan to, co do pana należy. Pańscy pacjenci są teraz również moimi pacjentami i zamierzam się nimi opiekować możliwie jak najlepiej.

Ryan O'Doherty postąpił krok w jej stronę, pochylił się i przeszył ją przenikliwym spojrzeniem.

- A pani uważa, że ja tego nie robię?

- Z całą pewnością jest pan nieprzeciętnie kompetentnym chirurgiem, ale powinniśmy dążyć do optymalizacji.

- Panno Edwards, czyżby miała pani wątpliwości co do moich umiejętności zawodowych? - przerwał jej obcesowo.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie, ale nie pozwolę panu lekceważyć siebie ani moich umiejętności. Władze waszego szpitala zwróciły się do mnie z prośbą o wykonanie takiego a nie innego zadania, ktoś więc zapewne uznał mnie za osobę kompetentną. Liczę na to, że pan przynajmniej zechce to przyjąć do wiadomości.

Skupił na niej uwagę, a ona poczuła, że drżą jej kolana. Czyżby przekroczyła granice?

- Robię obchód o piątej. Punktualnie - oznajmił szorstkim tonem, a potem odwrócił się na pięcie i ruszył korytarzem, dając jej do zrozumienia, że przeznaczony dla niej czas dobiegł końca.

Lucy minęła kilka sal chorych, skręciła za stanowiskiem pielęgniarek i uskoczyła przed pchanym przez ojca wózkiem, na którym siedział jego synek.

Jej serce zaczęło bić w przyspieszonym rytmie. Kiedy widziała małe dziecko, od razu przypominała sobie Emily. Gdy dotarła do korytarza, gdzie znajdowało się jej biuro, odetchnęła z ulgą. Może ponowne podjęcie pracy w dziecięcym szpitalu nie jest jednak dobrym pomysłem.

Ale kiedy musiała zrezygnować z poprzedniej posady, okazało się, że jest to dla niej jedyne dostępne zajęcie.

W porównaniu z jasnym, przestronnym i nowoczesnym wnętrzem przeznaczonym dla chorych jej pokój był zwykłą klitką. W dodatku miała go dzielić z dwoma innymi psychologami przydzielonymi na ten oddział. Trzy biurka stały pod ścianą tak blisko siebie, że trudno było precyzyjnie się między nimi.

Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że ma jeszcze kilka godzin do ponownego spotkania z doktorem O'Dohertym. Postanowiła więc przejrzeć przed czekającym ją obchodem karty małych pacjentów i zapoznać się z diagnozami ich chorób. Musi zrobić wszystko, by ta współpraca przebiegała możliwie bezstresowo.

Kiedy zaproponowano jej tę posadę, nie zastanawiała się ani minuty, mając szczerzy zamiar odnieść sukces. Potrzebowała tego stanowiska, by przetrwać i zacząć nowe życie.

W chwili, gdy zamierzała wyjść, do pokoju weszła jedna z użytkowniczek gabinetu, kobieta o włosach koloru pieprzu i szerokim uśmiechu.

- Hej, jak leci? - zapytała Nancy.

- Wszystko w porządku.

- Podobno przydzielono cię do doktora O'Doherty'ego. Lucy spojrzała na nią pytającym wzrokiem.

- Dowiedziałam się o tym pocztą pantoflową. Takie wiadomości szybko się rozchodzą.

- Rozumiem. - Lucy wzięła z biurka swój notatnik.

- Przystojniak, prawda? Uwielbiamy z nim pracować. Jest bardzo wymagający, ale pielęgniarki za nim przepadają... Niejedna jest w nim zadurzona.

Lucy nie wiedziała, jak powinna zareagować na te informacje, więc nie odezwała się ani słowem.

- Na tym piętrze sporo małych pacjentów łamie nam serca, ale kiedy obok jest Ryan, łatwiej się to znosi. To dotyczy zarówno ich, jak i nas. On jest wspaniałym lekarzem. Miło też na niego patrzeć.

Lucy musiała przyznać jej rację. Mimo to, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, nie wywarł na niej większego wrażenia. Ona musi skupić się na odbudowie swojego życia, a przynależność do klubu wielbicielek przystojnego lekarza nie mieści się na jej liście „spraw niezbędnych”.

- No cóż, lepiej będzie, jeśli przed obchodem przejrzę karty pacjentów - oznajmiła Lucy, uśmiechając się nieufnie, a potem wyszła z biura.

Nigdy nie była obiektem szpitalnych plotek i trzymała się od nich z daleka, ale to, co powiedziała Nancy, wyraźnie ją zaciekawiło. Doszła do wniosku, że im więcej wie o doktorze O'Dohertym, tym dla niej lepiej.

Usiadła na krześle stojącym za pulpitem stanowiska pielęgniarek. Patrząc w monitor najnowocześniejszego komputera, wystukała na klawiaturze swoje hasło, a potem wywołała po

kolei nazwiska pięciu pacjentów doktora O'Doherty'ego, Zaczęła czytać karty chorób, robiąc notatki. Kiedy kończyła przeglądać ostatnią z nich, usłyszała dobiegający z drugiego końca korytarza niski gardłowy śmiech, a po nim piskliwy dziecięcy chichot.

- Doktor O'Doherty znów bawi się z jakąś małą pacjentką - zauważyła z uśmiechem pielęgniarka, podchodząc do Lucy.

Chwilę później ujrzały wolno biegnącego mężczyznę z małą dziewczynką na rękach. Nie miał na sobie białego fartucha. Jasnoniebieska trykotowa koszula opinała jego szeroką klatkę piersiową. Dziecko uśmiechało się radośnie, mocno obejmując go rączkami za szyję. Główkę miało owiniętą bandażem.

Ryan zatrzymał się przy stanowisku pielęgniarek.

- Panno Edwards, chciałbym, żeby poznała pani księżniczkę Michelle.

Dziewczynka zachichotała.

- Dzisiaj sama zapięła guziki bluzki i wypowiedziała życzenie. - Odwrócił głowę i spojrział na małą pacjentkę. - Księżniczko Michelle - powtórzył.

Dziewczynka ponownie zachichotała.

- Czy możesz zdradzić pannie Edwards, jakie było twoje życzenie? - zapytał.

- Chciałam pojechać na koniu - odparła dziewczynka, uśmiechając się nieśmiało.

- To piękne życzenie - odparła Lucy, odwzajemniając uśmiech. - A jak daleko chciałabyś pojechać? Za góry? Przez rzekę?

Dziewczynka zarżała, a potem wskazała palcem drzwi wejściowe.

- Do końca korytarza.

- Rozumiem.

- Ten koń nie może zbyt oddalać się od stajni - oznajmił Ryan, puszczając oko do młodej pielęgniarki, która mrugnęła do niego, szczerząc zęby w uśmiechu.

Lucy poczuła się dotknięta, że Ryan zignorował jej obecność. Dał jej w ten sposób do zrozumienia, że nie należy do jego kręgu. Znów jest outsiderką.

- Chyba będzie lepiej, jeśli skończymy tę przejażdżkę i odstawię księżniczkę do domu. Zbliża się pora kolacji - oznajmił Ryan, a potem odwrócił głowę do dziewczynki i zapytał: - Co powiesz, żeby koń ruszył?

- Wio! - zawołała Michelle, znów chichocząc.

Na twarzy Lucy pojawił się szeroki uśmiech.

- Czyżbym dostrzegł na pani twarzy uśmiech, panno Edwards? - spytał Ryan, unosząc brwi. - Myślałem, że to jest niemożliwe.

Jak ten piekielnie irytujący mężczyzna zdołał ją do tego sprowokować? Może go nie doceniła? Ma takie dobre podejście do pacjentów, tak bardzo się o nich troszczy.

Koń i mała amazonka ruszyli korytarzem w stronę drzwi wejściowych, a potem wrócili.

Lucy pomachała do nich, czując ucisk w piersi na myśl o tym, że niebawem Emily będzie w tym samym wieku co Michelle. Ale ona nigdy więcej już nie usłyszy wybuchów jej pogodnego śmiechu.

Pół godziny później spytała pielęgniarkę, od którego końca korytarza doktor O'Doherty zaczyna obchód. Kiedy wskazała ręką prawą stronę, Lucy ruszyła w tym kierunku.

Gdy zbliżała się do pokoju pierwszego pacjenta, sześciuosobowa grupa prowadzona przez doktora O'Doherty'ego właśnie stamtąd wyszła i stanęła wokół niego. Lucy zatrzymała się za nimi.

Ryan spojrział na nią ponad głową ubranej w biały kitel stażystki, która wpatrywała się w niego pełnym szacunku wzrokiem.

- Przedstawiam wam pannę Edwards - oznajmił.

Oczy wszystkich zwróciły się w jej kierunku, a ona drgnęła, widząc ich badawcze spojrzenia.

- Jest naszym nowym psychologiem rodzinnym. Proszę, żebyście przedstawili jej się później. Teraz czekają na nas pacjenci. Zasięgajcie jej fachowej porady we wszystkich sprawach. - Ponownie utkwiał w niej spojrzenie swoich intensywnie niebieskich oczu. - Będę musiał podać pani szczegóły dotyczące pacjenta, którego odwiedziliśmy pod pani nieobecność.

Lucy odwróciła wzrok.

Ruszyli korytarzem w kierunku kolejnego pokoju. Doktor O'Doherty zatrzymał się przed drzwiami i ponownie spojrział na Lucy.

- Ten chłopiec nazywa się Brian Banasiak - oznajmił. - Trzy dni temu usunąłem mu skrzep. Uważam, że w tym przypadku pani udział mógłby być korzystny dla pacjenta i jego rodziny.

Mógłby? Lucy poczuła się nieco dotknięta użytym przez niego trybem warunkowym, a jego komplement uznała za lekko dwuznaczny. W poprzednim miejscu pracy była wysoko ceniona jako ważne ogniwo procesu terapii, a rodziny chorych dzieci często zwracały się do niej z prośbą o wsparcie.

Ale doktor O'Doherty najwyraźniej uważa jej rolę za marginalną. Postanowiła zmusić go do zmiany zdania, sumiennie wykonując swoje obowiązki i wykazując się inicjatywą.

- Jak rozumiem, ten uraz głowy nastąpił w wyniku wypadku samochodowego - zauważyła spokojnie. - Zamierzam omówić z jego rodzicami dobroczynne skutki terapii, a także przekonać ich o konieczności domowego nauczania. Jego rodziców czeka długa droga. Przystosowanie się do dziecka, które trzeba karmić i ubierać, będzie dla nich bardzo trudne.

Widząc zaskoczone spojrzenia doktora O'Doherty'ego oraz pozostałych członków grupy, poczuła dumę. Udało jej się go zadziwić. Nie wiedziała, dlaczego ma to dla niej takie znaczenie, ale...

Ryan zacisnął usta i kiwnął głową, dając jej do zrozumienia, że zrobiła na nim wrażenie.

- Dziękuję, panno Edwards - powiedział. - Widzę, że jest pani dobrze przygotowana.

- Ta rodzina wyraźnie bardzo troszczy się o dziecko i na pewno zrobi wszystko, żeby Brian odzyskał siły. Porozmawiam z nimi jutro rano, żeby ustalić szczegóły.

Doktor O'Doherty przytaknął skinieniem głowy, a potem zastukał do drzwi i wszedł do pokoju. Wraz z grupą stażystów Lucy stanęła obok łóżka małego pacjenta.

Jego rodzice zerwali się z krzeseł i stanęli pod ścianą. Doktor O'Doherty nie zwrócił na nich uwagi.

- Brian, jak się dzisiaj czujesz? - zapytał.

Ośmiolatek z trudem się uśmiechnął. Cała jego głowa była owinięta białym bandażem. Po operacji miał podkrążone oczy i opuchniętą buzię.

- Chyba w porządku - odparł z lekkim entuzjazmem.

- To dobrze. Z tego, co mi powiedziała pielęgniarka, jesteś moim najważniejszym pacjentem - stwierdził doktor O'Doherty - więc przybij ze mną piątkę.

Jego słowa wywołały lekki uśmiech na twarzy chłopca. Uniósł niewielką rękę i uderzył w dłoń lekarza.

- Ojej! - krzyknął Ryan, cofając rękę. - Widzę, że już odzyskujesz siły.

Brian uśmiechnął się szerzej. Lucy uznała, że doktor O'Doherty umie postępować z małymi pacjentami.

- A teraz obejrzę twoją głowę. Może założymy ci mniejszy opatrunek?

- To swędzi - powiedział chłopiec, marszcząc nos.

- Tak, a to znaczy, że zaczynasz zdrowieć. Zobaczę, co da się w tej sprawie zrobić.

Kiedy zdejmował bandaż, Lucy obserwowała twarze rodziców, chcąc ocenić ich reakcje. Nie tylko śmierć wywołuje w ludziach żal. Mogą to spowodować również i koszmarnie przeżycia. Lucy zdawała sobie z tego sprawę aż nazbyt dobrze.

- Czy mój synek będzie w stanie jeździć na rowerze? - spytała matka chłopca. - Czy musimy się niepokoić, że może upaść?

- Pielęgniarka, panna Walters, odpowie pani na to pytanie - odparł doktor O'Doherty, nie patrząc na nią i nie przestając odwijać bandaża.

Matka Briana wyglądała na wstrząśniętą. Zrobiła gwałtowny krok do tyłu.

Doktor O'Doherty zaczął oglądać rany pooperacyjne.

- Sądzę, że możemy założyć mniejszy opatrunek - powiedział do stojącej obok niego dyżurnej pielęgniarki, a potem spojrzał na chłopca i dodał: - Wprawdzie będziesz mniej podobny do pirata, ale nie będzie cię tak bardzo swędziało.

To stwierdzenie wywołało szeroki uśmiech na twarzy Briana.

- Zobaczymy się jutro - oznajmił doktor O'Doherty, a potem odwrócił się, zamierzając odejść.

Po drodze chwycił małego pacjenta za duży palec u nogi i serdecznie uściśnął.

Matka chłopca wyszła za nim na korytarz.

- Doktorze O'Doherty, zastanawialiśmy się z mężem, czego możemy oczekiwać... - powiedziała z oczami pełnymi łez.

- Pielęgniarka odpowie na wszystkie pani pytania.

Gdzie podział się cały urok, który przed chwilą ten człowiek roztaczał wokół siebie? - spytała się w duchu Lucy, zaciskając usta.

- Czy będzie kiedyś taki, jaki był wcześniej? - spytała matka Briana, spoglądając na Ryana błagalnym wzrokiem.

- Nigdy nie składam tego rodzaju obietnic - odparł krótko.

Matka chłopca znowu wyglądała na wstrząśniętą.

Ten lekarz ma znakomite podejście do małych pacjentów, ale nie potrafi w sposób delikatny rozmawiać z ich rodzicami, pomyślała Lucy. Dlaczego nagle zrobił się taki chłodny i sztywny?

Nie pytając go o pozwolenie, postąpiła krok do przodu i położyła rękę na ramieniu matki Briana.

- Pani Banasiak, nazywam się Lucy Edwards i jestem psychologiem rodzinnym - oznajmiła. - Myślę, że mogłabym odpowiedzieć na niektóre z pani pytań.

Kobieta odetchnęła z wyraźną ulgą.

- Bardzo pani dziękuję - odrzekła, spoglądając na doktora O'Doherty'ego, który nie oglądając się, ruszył wraz z grupą stażystów korytarzem do następnego pacjenta.

Lucy została z rodzicami Briana. Poruszyły ją oczy pełne łez i delikatny uśmiech jego matki.

Wiedziała, że jej potrzebują. Poczowała się dobrze, zdając sobie sprawę, że będzie mogła znów wykorzystać swoje umiejętności i kwalifikacje.

Ryan zatrzymał się przed drzwiami pokoju pacjenta, na którym kończył obchód. Odwrócił się i czekał na stażystów. Stwierdził, że panna Edwards zniknęła. Zaczął się zastanawiać, czy powinien być tym zaskoczony. W końcu mogła porozmawiać z rodzicami Briana w wolnym czasie.

- Cieszymy się, że mogła pani do nas dołączyć - oznajmił, kiedy w końcu do nich podeszła.

Lucy spuściła wzrok, bo nie lubiła być w centrum uwagi.

- Musiałam uspokoić rodziców Briana - powiedziała cichym głosem.

Ryan pchnął drzwi pokoju pacjenta i wszedł do środka.

- Cześć, Lauren - powitał dziesięcioletnią dziewczynkę, która siedziała na łóżku, wpatrując się w ekran telewizora. - Myślę, że jutro możesz opuścić szpital i wrócić do domu. Co ty na to?

Babcia, która opiekowała się dziewczynką, podeszła do łóżka.

- To cudowna wiadomość - uznała z uśmiechem. - Co trzeba będzie zrobić, kiedy nadejdzie czas powrotu do szkoły?

- Ja państwu w tym pomogę - oznajmiła Lucy cichym, lecz zdecydowanym głosem.

- To jest Lucy Edwards - przedstawił ją Ryan. - Jest moim psychologiem rodzinnym.

Zauważył, że słowo „moim” wywołało na jej twarzy lekki grymas i zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Nie wiedział, jak ma go taktownie naprawić w obecności rodziny małej pacjentki, więc nie przestał mówić do jej babci. Postanowił przeprosić pannę Edwards nieco później.

Ta cicha kobieta o łagodnym głosie nie była dla niego kimś ważnym. Nie jest nawet w jego typie. Umawiał się zwykle na randki z „wyzwolonymi” panienkami, które mniej myślały,

a więcej się śmiały. Z takimi, które były hałaśliwe i żywiołowe, których nie interesowały związki uczuciowe. A panna Edwards najwyraźniej była typem kobiety wrażliwej i czulej.

Wyszedł z pokoju, kiedy babcia zaczęła zasypywać pytaniami pannę Edwards.

Po rozmowie telefonicznej wrócił do stanowiska pielęgniarek w poszukiwaniu „swojej psycholożki”. Nie widząc jej tam, był zmuszony zapytać, gdzie mieści się jej pokój.

Zastukał do drzwi, na których była umieszczona niewielka tabliczka, świadcząca, że trafił we właściwe miejsce. Otworzyła mu kobieta, którą dobrze znał.

- Witaj, Nancy. Szukam panny Edwards.

- Taaak? - zawołał ktoś z wnętrza pokoju. Ryan rozpoznał jej głos.

- Zejdę wam z drogi. Tak czy owak, pora wracać do domu - oznajmiła Nancy. - Miło cię widzieć, Ryan.

- Ciebie również - odparł z uśmiechem, stając w otwartych drzwiach. - Panno Edwards, czy mogę zająć pani chwilę? - spytał.

Lucy sprawiała wrażenie zdziwionej, ale kiwnęła głową.

Zwykle witano go serdeczniej, ale nie mógł mieć jej tego za złe, zwłaszcza biorąc pod uwagę niezbyt przyjemny początek ich znajomości.

Lucy usiadła za biurkiem stojącym najdalej od drzwi. Kiedy Ryan zamknął je za sobą, w jej oczach pojawił się wyraz niepokoju.

Czyżby się go bała? Na wszelki wypadek posłał jej przyjazny uśmiech.

Lucy patrzyła na niego pytającym wzrokiem.

- Chciałem panią przeprosić za nieuzasadnioną uwagę... chodzi mi o to, że mówiąc o pani, użyłem sformułowania „mój” psycholog rodzinny. Po prostu się przejęczyłem. To już się nie powtórzy.

Na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi.

- Doktorze O'Doherty...

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu. W zasadzie jestem dość bezpośredni - oznajmił, spoglądając na nią i stwierdzając, że ona wcale nie jest o tym przekonana. - Czy mogę mówić do pani Lucy?

Powoli kiwnęła głową.

- Uhm, Ryan, wiem, że nie jesteś wielbicielem tego skoordynowanego systemu opieki nad pacjentem, ale naprawdę chciałabym, żeby podczas naszej współpracy dochodziło do jak najmniejszej liczby konfliktów.

Podobał mu się sposób, w jaki wymówiła jego imię.

- Będę robił to, co do mnie należy, ale muszą obowiązywać pewne zasady.

Zacisnęła usta i zmarszczyła brwi.

- To znaczy?

- Wymagam, żeby osoby, które dla mnie pracują, były punktualne i robiły ze mną obchód. Nie zamierzam na nikogo czekać.

- Doktorze O'Doherty, ja nie pracuję dla pana. Pracuję dla szpitala i dla pacjentów. Jeśli dobrze zrozumiałam Mathersona, mamy współpracować, troszcząc się o chorych. A to oznacza, że mamy pracować razem.

- Mój harmonogram zajęć jest tak bardzo napięty, że nie mogę stać bezczynnie i na ciebie czekać.

- A moje obowiązki polegają na zajmowaniu się pacjentem i jego rodziną w trudnym dla nich okresie. Tak nakazuje ludzka wrażliwość i umowa ze szpitalem. Mam pomagać całej rodzinie. My... - zatoczyła ręką szerokie koło - jako członkowie personelu tego szpitala musimy troszczyć się o wszystkie aspekty życia pacjenta. Taką mam pracę i będę ci wdzięczna, jeśli pozwolisz mi ją wykonywać.

- A ja jestem chirurgiem, a nie niańką. Leczę pacjentów, ale nie mam obowiązku wdawać się w czułe pogawędki ani z nimi, ani z ich rodzinami.

- To prawda, ale zachowałbyś się miło, okazując im odrobinę empatii.

Ryan zeszywniał i spojrzał na nią wyzywająco.

- Rodzice moich pacjentów powinni usłyszeć prawdę.

- W pełni się z tobą zgadzam. Mam tylko wątpliwości co do sposobu jej przekazywania.

- Myślałem, że właśnie po to tu jesteś, czyż nie?

- Owszem, ale na przykład rodzice Briana pragną usłyszeć słowa otuchy od lekarza.

Po raz pierwszy patrzyli sobie w oczy dłużej niż przez sekundę.

- Rozumiem, co masz na myśli - powiedział, wstając.

- O której godzinie jutro masz pierwszą operację?

- O siódmej. Dlaczego pytasz?

- Bo chciałabym tam być, kiedy rodzice będą musieli rozstać się z dzieckiem przewożonym do sali operacyjnej. Właśnie wtedy będą potrzebować najwięcej wsparcia. Wielu chce porozmawiać, są przerażeni. Odprowadzę ich do poczekalni.

Nigdy specjalnie się nie zastanawiał nad bólem, jaki budzi w rodzicach obserwowanie dziecka, które jest przewożone do sali operacyjnej. Po prostu nie chciał o tym myśleć.

Otworzył drzwi, zamierzając wyjść.

- Okropnie trudno jest wypuścić dziecko spod opiekuńczych skrzydeł - zauważyła posępnym tonem.

Czyżby знаła to z doświadczenia? - spytał się w duchu.

Oczy Lucy wyraźnie się zaszklily.

- Chyba masz rację - mruknął, zamykając drzwi.

Idąc korytarzem, zaczął się zastanawiać, co ukrywa ta kobieta o smutnych i poważnych oczach.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tego wieczoru Lucy wróciła do domu później, niż zamierzała. Chciała przez cztery dni w tygodniu przychodzić wcześniej do szpitala, toteż dzisiaj musiała zostać tam dłużej, by się do tego przygotować.

W dodatku trzeba było doliczyć do tego czas, jaki traciła w środkach lokomocji na dojazd i powrót z pracy. Przyzwyczajona do jazdy samochodem, uważała, że kolejka podziemna ogranicza swobodę poruszania się i często jest irytująca. Nigdy nie umiała korzystać z rozkładów jazdy metra i zbyt często zdarzało jej się wsiadać do pociągu podążającego nie w tym kierunku, co chciała.

To był jeden z aspektów życia w wielkim mieście, którego wcześniej nie brała pod uwagę.

- Dobry wieczór - zawołał do niej dobrze zbudowany, ciemnowłosy właściciel domu, kiedy zaczęła wchodzić po schodach, zmierzając do wynajętej kawalerki.

- Witam, panie Volpentesta - odparła pogodnym tonem, a on wyszczerzył białe zęby w uśmiechu.

Weszła na drugie piętro, pod którym mieściło się jego włoskie bistro. Wspinaczka absolutnie jej nie przeszkadzała, bo uważała ją za doskonałe ćwiczenie fizyczne. Poza tym bardzo lubiła być w dobrej formie. Ważne było dla niej odpowiednie odżywianie i zachowanie zgrabnej sylwetki.

Wciągnęła głęboko powietrze. Dlatego właśnie nigdy nie miała kłopotów z noszeniem na rękach Emily.

Emily. Na samą myśl o niej poczuła przeszywający ból. Wiedziała, że jakoś musi się z tego wyzwolić.

Przekręciła klucz w zamku, otworzyła drzwi i weszła do mieszkania. Przez okno wpadało światło, rozjaśniając wnętrze kawalerki. Stało tu łóżko, mały stół i krzesła. W jednym kącie znajdował się niewielki, ale funkcjonalny aneks kuchenny, a w drugim łazienka.

Udało jej się zrobić z tego miejsca przytulne mieszkanko dzięki kilku przedmiotom, które przywiozła.

Kiedy miała wolną chwilę, sprzątała je i starała się utrzymać w nim porządek. Poza tym lubiła tę wysadzaną drzewami dzielnicę. Była szczęśliwa, że znalazła to mieszkanie. W dodatku opłaty za nie mieściły się w jej możliwościach finansowych.

Alexis nie mogła pojąć, dlaczego Lucy wyniosła się tak daleko, ale ona nie miała najmniejszego zamiaru tłumaczyć siostrze prawdziwego powodu przeprowadzki. Lepiej było dla wszystkich, że wyjechała, choć bardzo tęskniła za siostrą i... za Emily.

Pragnęła, by Alexis i członkowie jej rodziny byli szczęśliwi. Wiedziała, że jeśli będzie wiecznie kręcić się wokół nich, chcąc należeć do ich zżytej grupki, nie przyniesie to nikomu niczego dobrego.

Rzuciła torebkę na stół, a potem włączyła czajnik. Bardzo lubiła słodką mrożoną herbatę. Niezależnie od tego, gdzie mieszkała, zawsze ją piła z wielką przyjemnością. Nawet w pierwsze wiosenne dość chłodne dni nie była w stanie zrezygnować ze wspomnień wieku dorostania.

To była jedna z przyjemności, za które ona i siostra oddałyby wszystko.

Wciągając głęboko powietrze, podeszła do łóżka, zdjęła kostium, w którym chodziła do pracy, i włożyła spodnie od dresu oraz sportową bluzę.

Stojąca pod oknami latarnia uliczna migotała, rozjaśniając pokój ciepłym światłem, co jeszcze bardziej nasilało jej poczucie samotności. Idąc do aneksu kuchennego, po drodze zapaliła lampkę. Zalała wrzątkiem torebki herbaciane, wsypała cukier, a potem wyjęła z otwartej szafki puszkę zupy.

Minęły czasy, kiedy mieszkała w pełnym miłości domu siostry i opiekowała się dzieckiem. Teraz przeniosła się do nędznej kawalerki w wielkim anonimowym mieście. Opadła na jeden z dwóch foteli i objęła głowę rękami.

- Przestań - mruknęła do siebie. - Weź się w garść. Przetrzymaj to... Wiem, że jesteś w stanie. Musisz zacząć nowe życie. Własne życie.

Następnego dnia po południu weszła do pokoju Daniela Hancocka i zastała tam Ryana, który siedział wygodnie w fotelu. Wyglądało to tak, jakby składał nastolatкови regularne wizyty towarzyskie. Tydzień wcześniej usunął szesnastoletniemu chłopcu guza pnia mózgu.

- Och, panna Edwards! - zawołał Ryan. - Właśnie na panią czekaliśmy - dodał takim tonem, jakby był autentycznie zadowolony z jej obecności, co obudziło w niej pewne podejrzenia.

Dzień wcześniej dał jej do zrozumienia, że będzie od niej oczekiwał współpracy tylko w takich przypadkach, w których uzna, iż jest mu potrzebna, a teraz na jej widok zareagował tak, jakby byli dobrymi znajomymi i zamierzał prosić ją o przysługę.

Nie była pewna, jak ma rozumieć zmianę w jego nastawieniu. Do tej pory ich stosunki przypominały zachowania dwóch psów krążących wokół siebie i usiłujących odczytać swoje zamiary.

Podeszła do łóżka i uśmiechnęła się do Daniela.

- Co mogłabym dla was zrobić, panowie? - spytała.

- Mówiłem właśnie Danielowi, że nie będzie mógł od razu pójść do szkoły, że przez jakiś czas, dopóki nie zagoją się rany pooperacyjne, będzie musiał odbywać lekcje w domu. Czy mogłabyś to zorganizować?

- Zaraz się tym zajmę.

- Czy wiedziałaś, że Daniel jest gwiazdą szkolnej drużyny baseballowej?

- Tak, coś o tym słyszałam.

W istocie jego sportowa przyszłość stanęła pod znakiem zapytania, bo okazało się, że nie jest w stanie zapanować nad ruchami ręki. Teraz, dzięki umiejętnościom i doświadczeniu Ryana, znów miał szansę spełnić swe marzenia. Lucy doszła do wniosku, że z tego właśnie powodu może wybaczyć Ryanowi jego arogancję. Niekiedy brakowało mu wrażliwości, ale posiadał wielki talent jako chirurg.

Ryan wstał i szeroko uśmiechnął się do Daniela.

- Mam nadzieję, że niebawem zobaczę, jak grasz w Jankesach - oznajmił. - Zostawię twojemu nauczycielowi polecenie, żeby był fajny i lubił baseball... jak to zabrzmiało?

Daniel lekko się uśmiechnął, a Ryan podał mu rękę. Lucy doceniła sposób, w jaki okazał respekt chłopcu, traktując go jak równego sobie.

Gdy wychodził z pokoju, Lucy podążyła za nim.

- Wiesz, Lucy, to chyba jednak dobrze, że jesteś tak łatwo dostępna.

- Moja rola nie polega na tym, żeby być na każde twoje zawołanie.

- Być może nie, ale na razie nasza współpraca dobrze się układa - powiedział z szerokim uśmiechem i odszedł.

Kilka godzin później Lucy marzyła tylko o tym, by znaleźć się w domu, położyć się i zasnąć. Musiała jednak znaleźć Ryana i uzyskać jego podpis na kilku formularzach. Wiedziała, że jego gabinet jest w pobliżu jej pokoiku, ale nigdy jeszcze tam nie była.

Nacisnęła umieszczony na ścianie przycisk automatycznego systemu otwierającego drzwi, chwilę zaczekała, a potem weszła do środka.

Nie była już w jasnej, nasłonecznionej części dla pacjentów. Znalazła się w mrocznej świątyni szpitalnej biurokracji. Zaczęła czytać tabliczki z nazwiskami. Już na drugich drzwiach po prawej stronie znalazła plakietkę, na której było napisane: „Dr Ryan O'Doherty, neurochirurg”.

Słyszała, jak ktoś mówił, że Ryan nie dostał stanowiska ordynatora oddziału, co zaskoczyło większość pielęgniarek, które uważały go za faworyta. Gdyby personel głosował, to z pewnością wygrałby jednogłośnie.

Drzwi pokoju były lekko uchylone. Zapukała i czekała. Nie było odpowiedzi. Formularze musiały być podpisane tego wieczoru lub wcześniej rano następnego dnia.

Może powinnam dać mu znać pagerem? - spytała się w duchu, ale nie chciała tego robić.

Postanowiła zostawić dokumenty na jego biurku i wysłać do niego e-maila z prośbą o złożenie podpisów, zanim zniknie w sali operacyjnej.

Była trochę zaniepokojona tym, że musi bez pozwolenia wkroczyć na prywatny teren Ryana. Ponieważ jednak nie miała wyboru, nacisnęła klamkę i weszła do gabinetu.

Jego biały kitel wisiał na oparciu stojącego za biurkiem krzesła. Doszła do wniosku, że zapewne opuścił już szpital. Z drugiej jednak strony drzwi pokoju były otwarte. Nie bardzo wiedziała, co o tym sądzić.

Położyła dokumenty na biurku i chwyciła leżące tam pióro, chcąc napisać krótki list. Przyszło jej do głowy, że może przeczyta go, zanim będzie miała szansę wysłać e-maila. Nagle w progu sąsiednich drzwi stanął Ryan.

Lucy podskoczyła, piszcząc z przerażenia i chwytając się ręką za serce.

- Och! - jęknęła, widząc, że Ryan nie ma na sobie koszuli. Wzięła głęboki oddech.

Doszła do wniosku, że wtargnięcie do jego pokoju nie było zbyt dobrym pomysłem.

Miał rozpięty pasek, więc spodnie lekko zsunęły mu się z bioder. Lucy nie mogła odebrać oczu od jego umięśnionej klatki piersiowej lekko porośniętej włosami.

- Co tu robisz? - zapytał opryskliwie.

Ton jego głosu wyraźnie dowodził, że nie jest zadowolony z tej wizyty. Stanął za biurkiem i wysunął szufladę. Chwycił koszulę, włożył ją i zaczął zapinać guziki. Lucy śledziła jego ruchy. Długie palce poruszały się niezwykle szybko i sprawnie. Przyszło jej do głowy, że są one wprost stworzone do pieszczot, ale natychmiast odrzuciła od siebie tę myśl.

Brakuje tylko tego, żebyś zaczęła robić do niego słodkie oczy, skarciła się w duchu.

- Lucy, czy masz do mnie jakąś sprawę, czy przyszedłeś tu tylko po to, żeby się rozejrzeć? - spytał żartobliwym tonem, w którym pobrzmiwała nuta nieufności.

Lucy gwałtownie wyprostowała plecy i odsunęła się od biurka, usiłując się opanować.

- Potrzebuję podpisu na tych wnioskach. Wtedy będę mogła załatwić Danielowi lekcje w domu, zanim wyjdzie ze szpitala. One... - Urwała i wskazała ręką dokumenty, chcąc udowodnić, że mówi prawdę. - Muszę je dostarczyć najpóźniej jutro rano. Oczywiście, o ile wciąż chcesz, żeby chłopak miał fajnego nauczyciela. Powiedziano mi, że wszystkie dokumenty mają być wysłane najpóźniej jutro po południu - oznajmiła, siląc się na uśmiech.

- Panno Edwards, zaskakuje mnie pani. Nie zdawałem sobie sprawy, że ma pani poczucie humoru.

Powinien zsinieć z wściekłości, zastając Lucy w swoim gabinecie. W dodatku bez jego zgody. To było jego prywatne królestwo i chciał, by tak pozostało.

Widok jej zaskoczonych miny i wybaluszonych oczu, kiedy zobaczyła go bez koszuli, złagodził nieco jego złość. Nie odwróciła się od razu, tylko wbiła wzrok w jego pierś. Nie wpatrywała się w niego onieśmielona, lecz beczelnie go oceniała. Jedyne męska satysfakcja pokonała jego irytację. Jego ego wzbilo się pod niebo.

- Jeśli je podpiszesz, zejdem ci z oczu.

Z jakiegoś powodu Ryana nieco rozczarował jej pomysł. Dawno nie przeżywał tak zabawnych chwil.

Podniósł wnioski i je przejrzał. Potem położył je z powrotem na biurku, wziął pióro, które wcześniej wypadło z ręki Lucy i podpisał pierwszy z nich, kątem oka widząc, że ona rozgląda się wokół siebie.

Szybko zorientował się, że jest bardzo spostrzegawcza i potrafi intuicyjnie oceniać nowo poznanych ludzi.

Ciekaw jestem, jak ocenia mnie, pomyślał.

Zerkając na nią, przysunął do siebie drugi formularz. Lucy przyglądała się pełnym książek półkom, na których stały też fotografie i pamiątki związane z baseballlem. Potem przeniosła wzrok na przeciwległą ścianę, na której wisiało ogromne oprawione zdjęcie, przedstawiające fragment meczu.

Ryan odłożył pióro. Teraz Lucy skupiła uwagę na stojących na biurku fotografiach.

- To są moje siostrzenice i siostrzeńcy - wyjaśnił, a potem wskazał drugie zdjęcie, na którym widniały dwie ciemnowłose kobiety, i dodał: - A to moje siostry.

Bardzo rzadko dobrowolnie udzielał informacji dotyczących spraw osobistych. Poczul ucisk w żołądku. Nie chciał, by Lucy poznała jego sekrety.

- Czy masz jeszcze coś do mnie? - zapytał, siląc się na lekceważący ton, a potem wręczył jej formularze.

- Przed pójściem do domu dopilnuję, żeby je przefaksowano - oznajmiła i wyszła.

Ryan patrzył za nią.

- Ciekawe, dlaczego ni z tego, ni z owego cieszę się, że jutro muszę być w pracy? - mruknął pod nosem.

Sportowe buty Ryana wydawały rytmiczny odgłos, kiedy, wracając do szpitala, skręcił w wybrukowaną alejkę. Na widok siedzącej na parkowej ławce Lucy gwałtownie zwolnił. Jej głowa była przechylona do tyłu, twarz wystawiona do słońca, nogi wyciągnięte. Złote włosy lśniły w jasnym świetle promieni. Obok niej leżał gruby sweter. Choć znał ją od niedawna, podejrzewał, że rzadko zdarza jej się przyjmować tak swobodną pozę.

Doszedł do wniosku, że Lucy jest atrakcyjną kobietą, która nie lubi rzucać się w oczy, pragnie być wręcz niezauważalna. Ale w jego przypadku ta taktyka nie przyniosła pożądanego rezultatu, bo i tak zwrócił na nią uwagę.

Gdy się do niej zbliżył, zorientował się, że ma zamknięte oczy. Nie miał zamiaru zakłócać jej spokoju, ale gdy do niej podszedł, uniosła powieki i spojrzała na niego zaspanym wzrokiem.

- Cześć! - powiedziała sennym głosem.

- Cześć - odparł.

- Biegałeś - stwierdziła oczywisty fakt, ponieważ stał przed nią zlany potem w sportowej bluzie i krótkich spodenkach.

- Tak. Jedną z dodatkowych zalet pracy w Angelu Mendezie jest to, że mamy tak blisko park.

- Też tak uważam. Już tęsknię za jeziorami, lasami i otwartą przestrzenią przedmieść Atlanty. Trochę pomaga mi myśl, że mogę przyjść do tego parku.

- Czy miałaś okazję go zwiedzić? Lucy się zaśmiała.

- Chyba zaskoczyłabym cię, gdybym powiedziała, że boję się zgubić. Po prostu nie od-
dalam się od szpitala, nie chcąc tracić go z oczu.

Ryan uśmiechnął się do niej.

- Wobec tego może chciałabyś, żebym kiedyś cię po nim oprowadził. Jeśli uznasz za ko-
nieczne, możemy znaczyć drogę, rozrzucając za sobą okruszki chleba.

- Jeśli będę z tobą, na pewno tego zażądam.

- Dobrze. Teraz zostawię cię, żebyś złapała trochę słońca.

- Ojej, ja też muszę wracać do szpitala. Powinam zjeść lunch, zanim spotkamy się w
poradni.

- Nie wiem, czy twoja obecność jest dzisiaj konieczna. Wstała z ławki i spojrzała na nie-
go, zaciskając usta.

- Dlaczego? Myślałam, że rozmowę na ten temat mamy już za sobą.

Ryan uniósł rękę.

- Nie chodzi mi o to, że nie chcę cię tam widzieć. Po prostu umówiony jestem z pacjen-
tami, którzy zostali wypisani ze szpitala, zanim zaczęłaś u nas pracować.

Mięśnie jej twarzy wyraźnie" się rozluźniły.

- Rozumiem, ale i tak chcę tam być.

Ruszyła w stronę szpitala, nie patrząc na niego. Zlekceważyła go, a on był przyzwycza-
jony do takiego traktowania wyłącznie przez swoje siostry.

Weszła do połączonego ze szpitalem budynku, w którym znajdowała się poradnia. Ryan
przyjmował tu pacjentów w środy. Rozejrzała się po poczekalni, z której dużych okien widać
było Central Park, a na ścianach wisiały namalowane przez dzieci obrazki uśmiechniętych ra-
dośnie zwierząt.

Pomarańczowe meble i jasnozielona wykładzina dywanowa stwarzały bardzo miłą atmosferę. Niewielki stół i szafki z zabawkami stały z boku. Tutaj dzieci na pewno nie boją się przychodzić.

Ryan czekał na nią na korytarzu.

- Przepraszam za spóźnienie - odezwała się z poczuciem winy. - Bez względu na to, ile przeznaczę czasu na dojazd, kończy się na tym, że i tak myślę pociągi - dodała, a potem wstrzymała oddech, czekając na jego reakcję.

- Zaczynam się do tego przyzwyczajać - oznajmił rozbawiony.

- Obiecuję, że się poprawię. W końcu mogę dojechać do pracy, nie wysiadając z metra i nie wracając na poprzednią stację. Ale dzięki temu mam trochę ruchu.

- To widać - odparł z przewrotnym uśmiechem, obrzucając jej figurę pełnym aprobaty wzrokiem, a ona poczuła ogarniające ją ciepło.

Odwzajemniła jego przekorny uśmiech. Doszła do wniosku, że znów jest w dobrym humorze, o czym od dawna nawet nie marzyła.

- Pierwszy pacjent jest w pokoju numer dwa, doktorze - oznajmiła dyżurna pielęgniarka.

Ryan wziął od niej kartę choroby i ruszył w stronę gabinetu przyjęć, a Lucy podążyła za nim.

Zdała sobie nagle sprawę, że ten mężczyzna potrafi być czarujący, kiedy służy to jego interesom. Bywa też jednak oschły i wyniosły. Postanowiła, że zrobi wszystko, co w jej mocy, aby jego skłonność do zmiany nastroju nie wpływała negatywnie na ich współpracę.

Towarzyszyła mu podczas wszystkich badań.

Pacjenci zgłaszali się do niego po upływie sześciu tygodni od operacji. Na tym kończyła się jego rola, chyba że trzeba było przeprowadzić jakiś dodatkowy zabieg. Lucy doszła do wniosku, że może właśnie dlatego nie wkłada on wysiłku w bliższy kontakt z rodzinami operowanych dzieci.

- To będzie nasza ostatnia pacjentka - oznajmił Ryan. - Nazywa się Amanda Marcella i ma trzy lata.

Kiedy matka wprowadziła ją do gabinetu, Ryan przedstawił jej Lucy.

- Jak ona się czuje? - spytał bardzo młodą matkę.

- Chyba dobrze - odparła, wzruszając ramionami. Słyszac jej obojętny ton, Lucy aż się wzdrygnęła. Jeśli ma chore dziecko, nie powinna podchodzić do tego tak nonszalancko, pomyślała.

Dziewczynka miała przetokę po prawej stronie głowy. Ryan zaczął delikatnie zdejmować bandaż.

- Ten opatrunek jest źle założony - zauważył. - Pokażę pani, jak powinno się to robić - dodał.

- Nie lubię robić takich rzeczy. Zawsze zastępuje mnie mój chłopak - powiedziała matka Amandy.

Ryan uniósł głowę i spojrzał na nią chłodno.

- Niestety, nie ma pani wyboru. Odpowiedzialność za dziecko należy do pani obowiązków. - Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Widząc na twarzy dziewczyny wyrzuty sumienia, Lucy postąpiła krok w jej kierunku.

- Czy ma pani kogoś, kto mógłby pani pomóc? - spytała.

Dziewczyna potrząsnęła głową, a w jej oczach pojawiły się łzy.

- Rodzice wyrzucili mnie z domu, kiedy dowiedzieli się, że jestem w ciąży. Staram się robić, co mogę, ale nie jestem dobrą opiekunką.

Ryan wrócił po chwili w towarzystwie pielęgniarki.

- Zamierzam założyć dwa szwy, żeby zabezpieczyć przetokę. Trzeba będzie nadal ją bandażować i regularnie dezynfekować.

Matka małej pacjentki spojrzała na niego z wyraźnym przerażeniem. Czyżby nie widział, że jest wystraszona? - spytała się w duchu Lucy.

- Może zaczekamy na zewnątrz, aż doktor skończy zabieg? - zaproponowała, a dziewczyna pospiesznie kiwnęła głową.

Szybko wyszły na korytarz.

- Wiem, że doktor O'Doherty chce, abym zajmowała się główką Amandy, ale ja po prostu... nie jestem w stanie. Kiedy patrzę na tę ranę, robi mi się okropnie smutno.

Po chwili Ryan uchylił drzwi, dając im znać, że skończył zakładać szwy. Lucy i matka Amandy wróciły do gabinetu.

- Pielęgniarka pokaże pani, jak należy bandażować głowę córki - powiedział Ryan, patrząc na matkę małej pacjentki. - Proszę przyprowadzić ją do nas w przyszłym tygodniu. Spodziewam się, że rana będzie zadbana.

- Okej... - wymamrotała dziewczyna, biorąc płaczące dziecko z rąk pielęgniarki.

- Wiesz, Lucy, nie znoszę rodziców, którzy w okresie rekonwalescencji nie otaczają zoperowanego przeze mnie dziecka odpowiednią opieką - wycedził Ryan przez zęby, gdy zostali sami.

- Ryan, nie możesz traktować w tak surowy sposób tej matki. Ona sama jest jeszcze prawie dzieckiem. W dodatku przerażonym. Ma chorą córeczkę, a nikt z rodziny nie chce jej pomóc.

- Powinna spełniać obowiązki, jakie nakłada na nią posiadanie dziecka. Musi pilnować, żeby miało opiekę, jakiej mu potrzeba.

- Ona ma wielki żal i nie może patrzeć na ranę córeczki. To ją przeraża - oznajmiła Lucy.
- Czy byłeś kiedyś w takim miejscu, w którym nie mogłeś wytrzymać?

- Co sugerujesz?

- Nie sądzę, żeby zmuszanie dziewczyny do zajmowania się raną głowy dziecka było odpowiedzią na moje pytanie. Ona potrzebuje pomocy, wsparcia. Ja się tym zajmę. Gdybyś mógł napisać wniosek do społecznej służby zdrowia, żeby ktoś przychodził do nich, powiedzmy, dwa razy w tygodniu... Byłoby to najlepszym rozwiązaniem dla niej i dla dziecka.

Była wstrząśnięta, widząc na twarzy Ryana lekki uśmiech.

- Zaczynam czuć się tak, jakbym był manipulowany, ale myślę, że tym razem masz rację. Napiszę ten wniosek - oznajmił, a potem odwrócił się i opuścił pokój.

Ktoś zastukał do drzwi klitki. Nawet sposób, w jaki pukał, był charakterystyczny.

Koleżanki Lucy już dawno poszły do domu. Ona też mogła wyjść wcześniej, ale nie miała nic do roboty w kawalerce. Podeszła do drzwi i je otworzyła.

- Cześć! Zastanawiałem się, czy nie zechciałabyś zjeść ze mną kolacji. W ten sposób mógłbym podziękować ci za dzisiejszą pomoc i przeprosić za to, że w pierwszym dniu pracy nie powitałem cię tak, jak należało. - Uśmiechnął się do niej szeroko.

Tym uśmiechem mógłby zabijać smoki i zdobywać serca księżniczek, pomyślała.

- Po prostu robiłam to, co do mnie należało, więc podziękowania są zbędne. Jestem ci wdzięczna za zaproszenie, ale chyba będzie lepiej, jeśli wrócę do domu.

Dlaczego, u diabła, nie mogłaby skorzystać z okazji i pójść z przystojnym, eleganckim mężczyzną do restauracji? Czy dlatego, że może być smokiem, który zabija uśmiechem? Czy dlatego, że to do niczego nie prowadzi? Ale dlaczego miałyby do czegośkolwiek prowadzić!

- Czy nie uważasz, że mogłabyś poświęcić kilka minut, aby dotrzymać towarzystwa ciężko pracującemu koledze podczas jedzenia? - Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Lucy zaczęła ulegać jego urokowi.

- Chyba mogłabym, ale naprawdę tylko kilka minut. Poza tym też jestem głodna. Czy nie zrobi ci różnicy, jeśli ja wybiorę restaurację?

- Oczywiście, że nie. Pod warunkiem, że nie będzie to miejsce, w którym podają jedynie fasolę i kielki. Chciałbym zjeść mięso, ser i jeszcze więcej mięsa.

Lucy wybuchnęła śmiechem. Zauważyła, że w jego towarzystwie robi to coraz częściej. Uznała to za dobry znak.

- Mają tam mięso oraz mnóstwo znakomitych surówek.

- To brzmi zachęcająco. Zatem ruszajmy. - Opuścił jej pokój i czekał na nią na korytarzu.

Na litość boską, co ona najlepszego robi? Po co idzie z nim na kolację? Jaki ma w tym interes? On jest zbyt miły, choć czasami wyprowadza ją z równowagi.

Owinęła szyję szalikiem i włożyła płaszcz. Wyszła na korytarz i zamknęła drzwi na klucz.

Rozejrzała się wokół, ale Ryana nie dostrzegła. Było już dość późno, więc większość pacjentów leżała w łóżkach. Pewna samotna matka mówiła coś łagodnym tonem do swojego synka. Na ten widok Lucy poczuła ucisk w sercu. Myślała, że duża odległość złagodzi jej uczucia do Emili, ale każde dziecko, które tu widziała, na nowo wywoływało w niej kłujący ból.

Może to się kiedyś zmieni, pomyślała z nadzieją.

Ponownie rozejrzała się po korytarzu i tym razem go spostrzegła. Ryan stał przy stanowisku pielęgniarek, rozmawiając z jedną z pracownic, która zanosila się od śmiechu. Gdy jednak zauważył Lucy, natychmiast ruszył w jej kierunku.

- Dostałem wiadomość na pagerze - oznajmił, podchodząc do niej. - Będę musiał na chwilę wpaść do pacjenta. Chyba nie masz mi tego za złe.

- Ależ skąd. Wobec tego spotkajmy się w holu na dole, dobrze?

- Okej. Zatem widzimy się za kilka minut - odparł i ruszył szybkim krokiem w stronę sali chorych.

Siedziała obok Ryana na tylnym siedzeniu taksówki i wyglądała przez okno. Ryan nie był pewny, czy nie chce na niego patrzeć, czy też po prostu jest pochłonięta światłami „wielkiego miasta, które nigdy nie śpi”.

- Czy byłaś już kiedyś w Nowym Jorku?

- Tylko raz, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Z rodzicami. Ale niewiele z tego pamiętam - odparła smętnym tonem, a on pomyślał, że pewnie nie ma miłych wspomnień z tego pobytu.

- Na pewno nie przyszło ci do głowy, że tu zamieszkas. Idę o zakład...

- Masz rację, nigdy - przerwała, patrząc mu w oczy, a potem ponownie odwróciła głowę.

- A ty, sądząc po akcencie, przez całe życie mieszkasz tutaj, prawda?

- Owszem. Jestem chłopakiem z Brooklynu. Urodziłem się tu i wychowałem - odparł z dumą.

- Więc dlatego w twoim gabinecie wisi zdjęcie z rozgrywek w baseball.

- Tak. Jestem kibicem Jankesów. Czy interesujesz się baseballlem?

- Jeśli mieszkasz w Atlancie, śledzisz rozgrywki Bravesów. Mój szwagier wykupuje abonament na cały sezon, więc byłam na kilku meczach.

- Ja też mam abonament, tylko że na Jankesów. Może chciałabyś kiedyś pójść ze mną? Co ty na to?

Do diabła, co on najlepszego robi, zapraszając ją na mecz? To zabrzmiało tak, jakby chciał umówić się z nią na randkę.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku.

- Volpentesta. To jedna z najlepszych pizzerii w mieście. Jak na kogoś, kto niedawno przybył do Nowego Jorku, doskonale wiesz, gdzie można dobrze zjeść.

Lucy, która otworzyła już drzwi, by wysiąść, uśmiechnęła się z zadowoleniem. Kiedy sięgała do torebki, chcąc zapłacić swoją część za dojazd, Ryan powstrzymał ją, delikatnie dotykając jej ręki.

- Wykluczone - mruknął. - Ta kolacja to mój pomysł. Nie zamierzała się z nim spierać.

Kiedy zbliżyli się do restauracji, Ryan wyciągnął rękę i otworzył jej drzwi.

- Ktoś nauczył cię dobrych manier. Po raz drugi otwierasz przede mną drzwi - stwierdziła.

Tępy ból, który od lat nosił w sercu, gwałtownie się nasilił.

- Mój ojciec był tradycjonalistą. Zawsze do mnie mówił: „Ryan, chłopcze, traktuj kobiety w taki sposób, w jaki chciałbyś, żeby traktowano twoje siostry. Takie obyczaje panują w rodzinie O'Dohertych”.

- Złamałeś nieco tę zasadę, kiedy się poznaliśmy, nie sądzisz?

- No wiesz, przecież oprowadziłem cię po oddziale.

- Tak, ale miałeś ochotę wrzucić mnie do szybu windy.

- Czy naprawdę zachowałem się aż tak okropnie?

Lucy kiwnęła głową.

- Będę próbował ci to wynagrodzić podczas kolacji, dobrze?

- Już o tym zapomniałam, więc nie masz się czym przejmować - odparła z uśmiechem.

W tym momencie podszedł do nich bardzo dobrze zbudowany mężczyzna i powitał Lucy niezwykle serdecznie.

- Jak się pani dzisiaj miewa, Lucy? - spytał z silnym włoskim akcentem.

Na ustach Lucy zagościł szeroki uśmiech, a w oczach pojawiły się radosne iskierki. Widząc to, Ryan poczuł ukłucie zazdrości. Zaczął się zastanawiać, co musiałby zrobić, by obdarzyła go takim uśmiechem.

- Panie Volpentesta, u mnie wszystko dobrze. Chcielibyśmy coś zjeść. Czy mógłby pan znaleźć dla nas stolik?

- Co tylko pani sobie życzy, moja droga.

Ryan spojrział na nich lekko zdziwionym wzrokiem. Doskonale wiedział, że oczekiwanie na stół u Volpentesty nawet wieczorami w dni powszednie jest dość długie, a Lucy z łatwością go dostała. W dodatku bez rezerwacji.

Restauracja przypominała autentyczne włoskie bistro, poczynając od czerwonych obrusów, a kończąc na stojących na stołach świeczkach. Światło było dość przyćmione, co sprzyjało miłej atmosferze, ale nie aż tak ciemne, by Ryan nie mógł podziwiać pełnej wyrazu twarzy Lucy.

Jej makijaż był bardzo delikatny. Zauważył już kiedyś, że używa błyszczyka, który nadaje jej wargom lekki połysk. Włosy przewiązywała zwykle wstążką, albo zaplatała w warkocz. Zastanawiał się niekiedy, jak wyglądałaby, gdyby je rozpuściła. Dawno już nie spotkał kobiety tak niezwykle interesującej i oryginalnej.

- Proszę tędy, droga pani - powiedział pan Volpentesta, prowadząc ich do stolika stojącego w odległym kącie sali.

- Jak go poznałaś? - spytał Ryan szeptem.

- Po prostu mieszkam w tym domu, na górze - odparła, a potem podążyła za właścicielem restauracji.

- Dobry wybór - mruknął bardziej do siebie niż do niej, kiedy podeszli do stolika.

Wysunął krzesło i czekał, aż Lucy usiądzie.

- Twój ojciec o niczym nie zapomniał - stwierdziła, kładąc serwetkę na kolanach.

- Był niezwykle skrupulatny.

- Był?

Ryan zdał sobie sprawę, że nie ma wyboru.

- Umarł - odparł, nie mogąc ukryć cierpienia.

Widząc jej pełen współczucia wzrok, zaczął żałować, że nie skłamał. Lucy położyła dłoń na jego przedramieniu i spojrzała mu w oczy.

- Przykro mi...

Jej dotyk i troska zmniejszyły na chwilę jego poczucie straty. Po raz pierwszy ktoś naprawdę dodał mu otuchy.

Jak to się stało, że ta piękna kobieta, dotykając jego ramienia, poruszyła w nim coś więcej?

- Nic mi nie jest.

Na szczęście w tym momencie zjawił się kelner, postawił na stole karafkę wina, przyjął zamówienie i odszedł.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że zamawiając tylko sałatkę, sprawiasz im zawód? - spytał, pochylając się w jej stronę.

- Po prostu nie jestem bardzo głodna.

- Gdybym miał zgadywać, to powiedziałbym, że nie odżywasz się tak, jak powinnaś.

Wzruszyła ramionami i zaczęła bawić się widelcem.

- Czy nie masz zamiaru tego skomentować? - spytał.

- Nie - odrzekła z mniejszym zapałem niż wcześniej, co utwierdziło go w przekonaniu, że ma rację.

Chcąc podtrzymać rozmowę, zaczął nerwowo szukać w myślach jakiegoś mniej osobistego tematu.

- Więc... czy dorastałaś w Atlancie?

- Coś w tym rodzaju, ale głównie byłam w szkole z internatem w północno-wschodniej Georgii.

Uniósł głowę i spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

- Moi rodzice się rozwiedli, łatwiej więc było wysłać tam Alexis i mnie, niż się nami opiekować na miejscu.

Matka Ryana zmarła, kiedy był jeszcze nastolatkiem. Zanim ojciec poważnie zachorował, zajmował się synem i jego siostrami. Nigdy nie dał im odczuć, że są niechciani czy niekochani.

- Alexis?

- To moja siostra bliźniaczka.

- Więc masz siostrę bliźniaczkę? To ciekawe. Na pewno jesteście identyczne i z sobą żyte. Mój ojciec często powtarzał, że „rodzina jest wszystkim. Jeśli nie masz rodziny, nie masz nic”.

Jej oczy lekko się zaszklily.

- Dla niektórych osób to stwierdzenie jest... chyba prawdziwe - stwierdziła bardziej z rezygnacją niż ze smutkiem.

A dla niej nie jest?

- Nie powinienem był tego mówić - zauważył, wypijając łyk wina. Słyszając w jej głosie melancholijny ton, zaczął żałować, że w ogóle zacytował wypowiedź ojca.

- Alexis i ja... miałyśmy siebie. We dwie tworzyłyśmy rodzinę. - Urwała, a po chwili dodała: - Dowiedziałeś się trochę o mnie. Czy mógłbyś powiedzieć mi coś o sobie?

- Spędziłem całą młodość w Brooklynie. Wydział medyczny nowojorskiego uniwersytetu, staż w Angelu Mendezie, gdzie pracuję do dnia dzisiejszego.

- Rozumiem.

W tym momencie kelner przyniósł zamówione przez nich dania. Ryan wciągnął powietrze, w którym unosił się zapach parującej pizzy.

- Na pewno ma wspaniały smak. - Odgryzł kawałek, a potem unióśł głowę i zerknął na Lucy, która uważnie go obserwowała. - O co chodzi?

- O nic.

- Powiedz mi, o czym myślisz...

- O tym, że nigdy nie widziałam mężczyzny, któremu tak bardzo smakowałoby jedzenie jak tobie i który jadłby je z takim apetytem.

- Mówiłem ci, że jestem piekielnie głodny, a to jest nadzwyczaj dobra pizza. Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłaś.

- Bardzo proszę!

- Czy chciałabyś, żebym się z tobą podzielił? - Wziął do ręki kawałek i uniósł w stronę jej ust. - No, powinnaś przynajmniej spróbować wspaniałego dania twojego znajomego. Oczywiście mam na myśli właściciela tej restauracji.

- Chyba zaryzykuję i zjem kawałek - odparła, odgryzając kęs.

Patrzył zauroczony, jak zmienia się jej twarz, kiedy poczuła smak pizzy. Wlepił wzrok w jej usta, gdy czubkiem języka oblizywała wargi.

- Jeszcze jeden? - Nie powstrzymałby się od tego pytania, nawet gdyby zaproponowano mu milion dolarów za milczenie. Pragnął, by powtórzyła ten zmysłowy gest.

- Bardzo mi smakowało, ale nie, dziękuję. Był zawiedziony, lecz nie naciskał.

Odgryzł kolejny kawałek pizzy, mając nadzieję, że uwolni się od tych myśli. Niestety, dalej zaprzętały mu głowę. Lucy jest dla niego prawdziwą zagadką. W spodniach i swetrze, które miała na sobie, wyglądała tak niewinnie, jakby nigdy nie zakosztowała życia, ale on wie lepiej...

Gdy kończyli posiłek, rozmawiając o najnowszych filmach, uwagę Lucy przyciągnęło coś, co działo się po drugiej stronie sali. Ryan odwrócił głowę, chcąc sprawdzić, co się stało. Kilka stolików dalej siedziała kobieta trzymająca w ramionach mniej więcej półroczne niemowlę. Zauważył już wcześniej, że Lucy reaguje bardzo silnie na bliskość małych dzieci.

- Czy coś jest nie tak?

Spojrzała na niego szklistymi oczami.

- Nie, tylko tęsknię za rodziną.

Powinna poradzić sobie z tymi uczuciami, pomyślał z irytacją. Przykro mi, ale nie zamierzam dłużej spędzać czasu z przesadnie sentymentalną kobietą.

- Robi się późno. Ja... to znaczy, my jutro zaczynamy wcześniej pracę. Odprowadzę cię pod drzwi.

- Więc ruszajmy. Muszę jeszcze chwilę porozmawiać z panem Volpentesta. Poproszę go o rachunek.

- Wykluczone. Dżentelmen reguluje swoje rachunki. Taką mam zasadę.

Lucy weszła do swojego mieszkania, które wydało jej się mniej sympatyczne po kolacji w towarzystwie Ryana w tętniącej życiem restauracji.

Samotność jest przygnębiająca. Kiedy przeprowadziła się do Nowego Jorku, zostawiła za sobą wszystko, co naprawdę miało w jej życiu znaczenie. Może rozpaczliwie liczyła na to, że zaprzyjaźni się z Ryanem...

Początkowo ich stosunki były nie najlepsze, ale w ciągu ostatnich dni zaczęli się rozumieć. On robił, co do niego należało, a ona starała się nie wchodzić mu w drogę. Do dzisiejszego wieczoru żadne z nich nic nie wiedziało o prywatnym życiu drugiego. Razem pracowali, ale to nie czyniło z nich przyjaciół. Może teraz ich układ ulegnie zmianie.

Zapaliła lampkę, zaciągnęła zasłony i zaczęła się rozbierać. Doszła do wniosku, że przyjemnie spędziła czas z Ryanem. Miło było dla odmiany zjeść z kimś kolację.

Gdy mieszkała z Alexis i Samem, każdego wieczoru zasiadali razem do stołu. Bardzo szybko zaczęła tęsknić za tymi posiłkami.

Dzisiaj dobrze czuła się w towarzystwie Ryana, ale czy on też?

ROZDZIAŁ TRZECI

Późnym wieczorem w piątek Lucy wróciła do domu, a po niespełna trzydziestu minutach rozległ się dzwonek telefonu i ktoś przemówił do niej niskim głosem tak szybko, że nie zrozumiała, co powiedział. Wydawało jej się, że to Ryan, ale nie miała pewności.

- Ryan?

- Tak. Lucy, przywieziono pacjenta - rzekł pospiesznie. - Spotkajmy się jak najszybciej na ratownictwie. Będę tam na ciebie czekał.

- Zaraz przyjadę.

Ponownie się ubrała. Wciągnęła džinsy i ciepły kremowy sweter, owinęła wokół szyi ciemnoniebieski szalik, włożyła płaszcz i ruszyła w stronę drzwi.

Wsiadła w kolejkę podziemną, dojechała do szpitala, a potem kilkakrotnie pomyliła korytarze. W końcu udało jej się znaleźć drogę na oddział ratownictwa. Podeszła do stanowiska pielęgniarek i spytała, w którym pokoju jest doktor O'Doherty.

- Doktor ma pacjenta. Czy jest pani jego matką?

Słyszając to pytanie, Lucy poczuła, że wstrząsa nią dreszcz przerażenia.

- Ja... ja jestem psychologiem rodzinnym na neurochirurgii. Doktor O'Doherty spodziewa się mnie... - Pokazała jej swój identyfikator.

- Doktor jest w pokoju dziewiętnaście - oznajmiła pielęgniarka, wskazując jej kierunek.

Lucy podeszła do drzwi, zapukała, a potem lekko je uchyliła i wsunęła głowę do przyziemnego wnętrza gabinetu.

Zobaczyła Ryana, który miał na sobie dżinsy opinające jego szczupłe biodra i gruby czerwony sweter, spod którego wystawał kołnierzyk białej koszuli.

Latynoski, mniej więcej sześciomiesięczny chłopiec leżał na nieskazitelnie czystym białym prześcieradle i wyglądał tak, jakby był pogrążony we śnie.

Lucy poczuła silny ucisk w gardle. Ten mały pacjent był w wieku Emily. Miała wielką ochotę odwrócić się i wybiec na korytarz. Ryan uniósł powiekę chłopca i skierował światło lantarki na jego oko. Para starszych osób stała w pobliżu. Mężczyzna otoczył kobietę ramieniem i przyciągnął bliżej do siebie.

Lucy wzięła głęboki oddech, a potem powoli wypuściła powietrze z płuc i weszła cicho do pokoju. Stała za plecami Ryana, nie chcąc mu przeszkadzać. Wiedziała, że musi przez to przejść, że powinna zająć się rodziną chorego dziecka, a później będzie mogła wrócić do domu i o wszystkim zapomnieć.

Kobieta zaczęła nagle bardzo szybko mówić coś po hiszpańsku. Ryan spojrzał na nią pełnym zdumienia wzrokiem. Pewnie nie miał pojęcia, co powiedziała.

Lucy zdecydowała, że musi zebrać się w sobie i przystąpić do działania.

Podeszła do nich bliżej i lekko dotknęła ręki kobiety, chcąc przyciągnąć jej uwagę, po czym spokojnym głosem wyjaśniła po hiszpańsku, kim jest. - Nazywam się Lucy Edwards i pracuję z doktorem O'Dohertym - ciągnęła. - Chłopiec jest w dobrych rękach. Jak on ma na imię?

- Miguel.

- Bardzo ładnie. Może zechciałaby pani usiąść?

Podprowadziła kobietę do stojącego pod ścianą krzesła. Mężczyzna podążył za nimi. Lucy zerknęła na szerokie ramiona Ryana, który pochylał się nad malcem.

- Kiedy tylko doktor O'Doherty skończy badać Miguela, powie państwu coś więcej o stanie jego zdrowia - wyjaśniła.

Kobieta kiwnęła głową, w jej oczach widać było lęk.

- Kim pani jest dla Miguela? - zapytała Lucy.

- Jego matką. Nie, tak naprawdę jestem jego ciotką. Jej słowa bardzo zaboląły Lucy.

Przecież nie byłam matką Emily, tylko jej ciotką, pomyślała, mając nadzieję, że to ulży jej cierpieniom, choć doskonale wiedziała, iż tak się nie stanie. Czy kiedyś się z tego otrząśnie? Czy odzyska równowagę psychiczną?

- Jego matka uciekła, zostawiając go pod moją opieką. To ja uciekłam, zostawiając Emili, pomyślała Lucy.

Ale to wygląda inaczej, bo matką Emily jest moja siostra.

Na litość boską, muszę zapanować nad emocjami i bardziej się kontrolować.

- Matka Miguela nie przyjmowała do świadomości jego choroby. Była nią przerażona. A to... - położyła dłoń na przedramieniu stojącego obok niej mężczyzny - to jest mój ojciec. Miguel i ja mieszkamy z nim...

Lucy usiłowała się opanować, by móc pocieszyć tę kobietę i jej ojca. Zaczęła sobie wmawiać, że jeśli skupi uwagę na ich potrzebach, zamiast na własnych cierpieniach, to jej ból zmaleje.

Po skończonym badaniu Ryan do nich podszedł. Skinął Lucy głową, co odczytała jako wyraz uznania i szacunku.

- Panno Edwards, czy mógłbym z panią chwilę porozmawiać? - spytał.

Kiwnęła głową, a potem obiecała kobiecie i jej ojcu, że zaraz do nich wróci. Ryan czekał na nią na korytarzu.

- To dziecko wymaga operacji - oznajmił, kiedy stanęła obok niego.

- Rozumiem.

- Nie będę kłamał. To będzie trudna operacja.

- W takim razie musisz im to powiedzieć. Wytłumaczyć. Dodać im otuchy.

- Nie zamierzam tego robić. - Nie chciał jej wyręczać i opiekować się rodziną chłopca.

- Oni są przerażeni. Naprawdę potrzebują wsparcia, które możesz im zapewnić.

- Lucy, ja jestem od operowania, nie od współczucia. To jest twoja działka - odparł podniesionym głosem. - Rób to, co do ciebie należy.

Wzdrygnęła się, ale nadal stała dumnie wyprostowana.

- Robię, co do mnie należy. Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Masz tylko im wyjaśnić, co się może stać. Członkowie rodziny powinni wiedzieć, że lekarz dba o nich i o pacjenta.

- Nie. To należy do ciebie. Jakoś sobie z tym poradzisz. - Odwrócił się, zamierzając odejść, ale chwyciła go za rękę.

- Posłuchaj, ktoś musi coś powiedzieć tej rodzinie, i to natychmiast. Nie jestem lekarką, nie mam wiedzy medycznej. Ty jesteś znakomitym chirurgiem, trzeba, żeby się o tym dowiedzieli. Daj im trochę nadziei. Niech będą dobrej myśli. To wszystko, co musisz zrobić. Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Dobrze, ale zrobię to na swój sposób.

Lucy kiwnęła głową, ale nie uśmiechnęła się z wyższością, bo doskonale wiedziała, że gdyby to zrobiła, nie wiadomo, jak by zareagował.

Ryan doszedł do wniosku, że skoro przeżył śmierć ojca i jego chorobę bez niczyjej pomocy, to inni też mogą uporać się z problemami. Oferował pacjentom swoje umiejętności i wiedzę medyczną, przeprowadzał operacje, najlepiej jak potrafił, ale nie chciał dać się wciągnąć w rolę, w której czułby się nieswojo.

Wrócili do pokoju i stanęli obok rodziny Miguela.

Po chwili Ryan zaczął mówić, a Lucy tłumaczyła jego słowa na hiszpański.

- Jak rozumiem, doktor Matthews, który prowadzi neurologicznie chłopca, wyjaśnił państwu, że mały cierpi na padaczkę typu grand mal. Leki, które dotychczas brał, nie są już tak skuteczne. Ataki, które dotąd miewał, z czasem przybiorą ostrzejszą postać. Chłopca trzeba...

- Miguel - podpowiedziała mu Lucy, a on rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Miguela trzeba będzie operować, żeby je zminimalizować - ciągnął, odwróciwszy się do ciotki chłopca. - Początkowo doktor Matthews był zdania, że operację należy przeprowadzić natychmiast. Sądzę, że przez kilka dni Miguel powinien zostać w szpitalu na obserwacji. Ale i tak uważam, że musi przejść tę operację, po której ataki będą występować, lecz nie będą takie silne.

Ciotka chłopca zaczęła płakać, zanim skończył mówić. Ryan marzył tylko o tym, by stąd wyjść. Nic, co mógłby powiedzieć czy zrobić, na pewno nie poprawiłoby im humoru. Zresztą wcale nie zamierzał podejmować takiej próby, niezależnie od nacisków Lucy.

Spojrzał na nią wymownym wzrokiem.

- Muszę wykonać kilka telefonów i załatwić parę spraw - oznajmił. - Postaram się ustalić datę i godzinę operacji. A teraz chciałbym, żeby mały miał spokój i odpoczywał. Doktor Matthews napisał już wniosek o przyjęcie go do szpitala.

- Dziękuję - wyszeptała Lucy, a on wyszedł z pokoju, nie oglądając się za siebie.

Trzydzieści minut później, wciąż kipiąc z wściekłości po wcześniej przeżytej męczarni, Ryan podszedł do drzwi biura psychologów rodzinnych.

Odwiedzał to miejsce po raz trzeci, a jeszcze na początku tygodnia nie wiedział, gdzie ono się znajduje. Lucy zaszła mu za skórę i zamierzał teraz dać jej do zrozumienia, że nie pozwoli na to, aby taka sytuacja kiedykolwiek się powtórzyła.

Było już dość późno, więc na korytarzu panował spokój. Pod drzwiami biura Lucy zauważył niewielki snop światła. Zastukał z taką siłą, że pielęgniarka stojąca na drugim końcu holu uniosła głowę i spojrzała w jego kierunku.

Usłyszał szmer w pokoju, ale nikt mu nie otwierał. Wiedział, że Lucy tam jest. Podniósł rękę, chcąc ponownie zapukać, ale nagle drzwi się uchylily.

- Tak? - Popatrzyła mu w oczy. - Czy stało się coś złego?

- W gruncie rzeczy owszem. Nie pozwolę się szantażować...

- Ciii!

Oboje odwrócili głowy w stronę pielęgniarki, która trzymając palec na ustach, próbowała ich uciszyć.

- Wejźmy do biura - powiedział, lekko ją popychając, a widząc jej przerażony wzrok, dodał: - Bardzo cię proszę, Lucy.

Gdy weszli, zamknął za sobą drzwi. Lucy stanęła jak najdalej od niego. Żadne z nich nie usiadło. Ryan wsunął rękę do kieszeni spodni.

- O co w tym wszystkim chodziło? Mam na myśli to, co się działo na ratownictwie. Dlaczego tak bardzo nalegałaś, żebym zajął się tą rodziną? Posunęłaś się za daleko, Lucy.

Zrobił krok w jej kierunku, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Dlatego, że oni zasługują przynajmniej na to, aby lekarz ich dziecka, zwłaszcza chirurg, okazał im zainteresowanie, troskę. Chcą usłyszeć od ciebie dobre i złe rzeczy. Chcą mieć poczucie, że mogą ci zaufać, oddając w twoje ręce ukochanego chłopca. Żeby to zrobić, muszą cię trochę lepiej poznać. Muszą nawiązać z tobą dobre stosunki, nawet jeśli będą one tylko powierzchowne.

Czy masz pojęcie, co to znaczy oddać dziecko pod opiekę jakiejś obcej osoby? - Jej duże oczy zalśniły, a Ryan zaczął podejrzewać, że zamierza się rozplakać. - Czyżbyś był aż tak niewrażliwy, że nie budzą w tobie współczucia rodzice pacjentów? Dobrze, że nie operujesz klatki piersiowej, bo gdybyś zobaczył serce, pewnie nawet nie wiedziałbyś, co to jest.

Ryan cofnął się gwałtownie, jakby ktoś go spoliczkował. Przyszedł tu, myśląc, że zostanie przeproszony, a zamiast tego dostał reprimendę.

Skąd w niej tyle jadu?

Stanęła twarzą do biurka, a plecami do Ryana.

- Na dzisiaj mam dość - oznajmiła. - Idę do domu. Możemy porozmawiać o tym jutro.

- Nie, nie możemy. Porozmawiamy o tym teraz. Nie sędzę, żeby cała ta tyrada miała jakiś związek ze mną albo z tym, co wydarzyło się na ratownictwie.

Lucy wysunęła szufladę i wyjęła z niej torebkę.

- Posłuchaj, Ryan. Jestem zbyt zmęczona, żeby rozstrzygać to teraz. Po prostu chcę iść do domu.

- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie wytłumaczysz mi.

- Nie możesz mnie tu więzić.

- Właśnie że mogę - oparł się o drzwi - ale wolałbym tego nie robić. Wiesz, coś tu jest nie tak. Nie mów mi tylko, że tak bardzo martwi cię los tego chłopca, bo nie dam się na to nabrać. Nawet mając tak czułe serce, nie mogłabyś przejąć się do tego stopnia, żeby...

- Nie tylko chirurg, ale też psychiatra. Ojej! Musiałeś uchodzić za geniusza na uczelni! Taki młody, a już zdobył dwa stopnie naukowe.

- Nie geniusz... szcycę się tym, że jestem spostrzegawczy. Albo przynajmniej kiedyś byłem. Tak czy owak, nie o tym mamy rozmawiać.

Wzięła płaszcz i szalik z oparcia krzesła.

- Przykro mi, jeśli zraniłam twoje uczucia, ale musiałam to powiedzieć. A teraz wybac mi... - Zrobiła krok w jego kierunku, mając nadzieję, że pozwoli jej wyjść, ale on potrząsnął głową.

- Nie wypuszczę cię, dopóki mi nie wyjaśnisz.

Lucy opadła na stojące za biurkiem krzesło. Ryan też usiadł i zaczął jej się uważnie przyglądać.

- Za ten atak jesteś mi winna wytłumaczenie.

- Zamierzasz zmusić mnie do tego?

Kiwnął potakująco głową.

- Matka Miguela nie jest jego prawdziwą matką.

- Miguela? - Zmarszczył brwi.

Poczuł się kompletnie dezorientowany.

- Przecież tak ma na imię twój ostatni pacjent - wyjaśniła mu zniecierpliwionym głosem, w którym pobrzmiwała nutka rozczarowania.

- Ach, tak, Miguel Rivera.

- Ona w istocie jest ciotką tego chłopca.

Jego zaskoczony wzrok świadczył o tym, że nie ma pojęcia o wadze tego stwierdzenia.

- Nosilaam dziecko mojej siostry i jej męža - oznajmiła szeptem.

To, że była zastępczą matką, sprawiało jej największą przyjemność, lecz oddanie dziecka w ręce siostry zniosła bardzo ciężko. Ale w końcu Emily była córką Alexis, a nie jej... Bez względu na to, co krzyczało jej serce.

- Czy teraz mogę już iść? - spytała bezbarwnym głosem, wstając z krzesła.

Ryan patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

- Ze wszystkich rzeczy, które brałem pod uwagę... tej na pewno wśród nich nie było - wyjąkał.

Lucy nie mogła wprost uwierzyć, że ze wszystkich ludzi wybrała Ryana na spowiednika, że właśnie jemu wyznała prawdę. Ale zrobiła to w chwili słabości, a poza tym on nalegał...

Będąc od niedawna w tym mieście i pracując do późnych godzin, odniosła wrażenie, że Ryan ma największe szanse, aby zostać jej przyjacielem, a przynajmniej dobrym kolegą. Był jedynym człowiekiem - oczywiście poza panem Volpentesta - którego widywała regularnie.

- Słyszałem o kobietach, które rodziły cudze dzieci... to znaczy, były zastępczymi matkami, ale nigdy żadnej nie poznałem - powiedział, wstając.

Był wyraźnie wstrząśnięty tym, co usłyszał. Z bliżej nieznanых jej powodów poczuła potrzebę wyjaśnienia mu wszystkiego. Chciała, żeby ją zrozumiał.

- Moja siostra bliźniaczka, Alexis, i jej mąż, Sam, przez wiele lat starali się o dziecko. Kiedy spytała mnie, czy mogłabym... urodzić ich dziecko, nie wypadało mi odmówić. Nie chciałam tego... - Zamilkła.

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami, jakby nagle sytuacja stała się dla niego jasna.

- Więc gdy opiekunka Miguela powiedziała, że jest jego ciotką, trafiła cię w czułe miejsce, tak?

Lucy kiwnęła głową.

- Omal nie umarłam, kiedy oddawałam Alexis małą Emily. - Zerknęła na swoje ręce kurczowo ściskające torebkę.

- Emily?

- Tak ma na imię moje dziec... och, przepraszam, moja siostrzenica.

Podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu. Bijące od niego ciepło złagodziło nieco dokuczliwy ból.

- To musiało być dla ciebie ciężkim przeżyciem - powiedział życzliwym, ale trochę niepewnym tonem.

Odwróciła głowę i spojrzała w jego cudownie niebieskie oczy, których widok zachęcił ją do kontynuowania opowieści.

- Rozum mówił, że ona do mnie nie należy, ale serce gwałtownie zaprzeczało... Popęłniałam fatalny w skutkach błąd, bo zaczęłam myśleć o niej jak o swojej córeczce.

- Nie chciałaś jej oddać.

Jego wypowiedź bardzo ją zaskoczyła. Więc mnie zrozumiał, pomyślała.

- Dlatego właśnie podjęłam pracę tutaj... chciałam stamtąd uciec. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby zacząć życie od nowa. A teraz chciałabym pójść do domu.

Ryan otworzył jej drzwi.

- Włóż płaszcz. Odprowadzę cię pod same drzwi.

W czasie weekendu Lucy nie miała od Ryana żadnej wiadomości. Wprawdzie nie liczyła na to, że się z nią skontaktuje, ale miała nadzieję, iż przynajmniej zatelefonuje i spyta, co u niej słychać.

Ulżyło jej, kiedy wyznała mu prawdę. Rozmowa o Emily ułatwiła jej życie, bo teraz przynajmniej mogła o niej myśleć, nie zalewając się łzami. Ból nie zniknął, ale znacznie się zmniejszył.

W poniedziałek zobaczyła Ryana dopiero podczas wieczornego obchodu, ale nie miała okazji z nim porozmawiać o prywatnych sprawach. Mówili tylko o pacjentach i ich dolegliwościach.

Kiedy skończyli obchód, Ryan przystanął i uniósł rękę, dając stażystom znać, że chce im coś powiedzieć.

- Zgodnie z harmonogramem jutro, w pierwszej kolejności, mam operować Miguela Riverę.

- A ja pomogę jego ciotce załatwić sprawy związane z ubezpieczeniem i znajdę dla niej i jej ojca jakieś lokum, w którym będą mogli się zatrzymać i odwiedzać Miguela na oddziale intensywnej opieki - poinformowała ich Lucy.

Ryan, nie patrząc na nią, lekko kiwnął głową.

Lucy miała wrażenie, że znów są sobie obcy, że nic o sobie nie wiedzą. Ryan wybuchał śmiechem i żartował z innymi członkami personelu, ale ani razu do niej się nie odezwał. To było gorsze niż jego zachowanie w dniu, w którym się poznali. Nie liczyła na to, iż zostaną serdecznymi przyjaciółmi, ale nie spodziewała się też, że będzie ją do tego, stopnia ignorował.

Zmartwiło ją to, że kiedy ten jedyny raz wyznała komuś dręczącą prawdę, została potraktowana tak, jakby w ogóle nie istniała.

Operacja Miguela zdominowała dzień. Lucy przyszła do szpitala bardzo wcześnie na wypadek, gdyby była potrzebna jego rodzinie. Miguel tak bardzo przypominał jej Emily, że musiała wykorzystać cały swój profesjonalizm, aby zachować zimną krew.

W ciągu dnia, między wizytami u innych pacjentów, spotkała się z rodziną Miguela. Siedziała akurat w ich towarzystwie, kiedy Ryan wyszedł z sali operacyjnej. Zbliżył się do nich, chcąc porozmawiać z ciotką chłopca.

Ciemnoniebieski kitel, który miał na sobie, podkreślał kolor jego oczu. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Lekko skinął Lucy głową, a potem skupił uwagę na rodzinie.

- Lucy, czy możesz tłumaczyć? - zapytał.

- Tak.

- Miguel czuje się dobrze. Doskonale zniósł operację, ale powrót do zdrowia nie będzie łatwy. Przez kilka dni zatrzymamy go na intensywnej opiece. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, to potem przeniesiemy go na pediatrię.

- Dziękuję - zawołała ciotka chłopca, zrywając się z krzesła i obejmując go w pasie.

Ryan wydawał się zszokowany tym gestem.

- Bardzo proszę - odparł, klepiąc ją po ramieniu, a potem zrobił krok do tyłu, uściskał dłoń dziadka Miguela i odszedł, nie oglądając się za siebie.

Lucy była rozczarowana, że nawet z nią nie porozmawiał. Gdzie podział się facet, który mógłby być jej dobrym kolegą? Miała dość takiego traktowania... Musi dowiedzieć się, o co mu chodzi.

Ryan skończył właśnie wieczorny obchód, który zrobił później niż zwykle. Personel doskonale wiedział, że on zawsze tak robi po poważnej operacji i stosownie do tego układał plany. Dzisiaj był jeden z takich dni. Poprosił pielęgniarkę, żeby zawiadomiła o tym pannę Edwards.

Lucy wraz ze stażystami czekała na korytarzu. Mimo późnej godziny wydawała się wypoczęta. Dla niej również był to ciężki dzień. Przez cały czas towarzyszyła rodzinie Miguela, wspierając ich i pocieszając.

Ryan dokładał wszelkich starań, by obchód przebiegał możliwie jak najsprawniej. Lucy rozmawiała ze wszystkimi rodzinami małych pacjentów, a kiedy wychodzili z sal, Ryan widział na ich twarzach pogodne uśmiechy. Okazała się prawdziwym skarbem.

Gdy skończyli odwiedzać chorych, Lucy bez słowa ruszyła w kierunku swojego pokoju.

Ryan poszedł do siebie, by się umyć, a potem zamierzał odwiedzić Miguela. Nagle usłyszał pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał.

W progu stanęła Lucy, która potem podeszła sztywnym krokiem do biurka.

- Czy masz jakiś problem? - spytał.

- Owszem. Chcę o czymś z tobą porozmawiać - oznajmiła zdecydowanym tonem.

Po tym, jak wyznała mu prawdę o sobie i swojej siostrze, nie chciał wiedzieć nic więcej. Po prostu śmiertelnie go przeraziła...

- Lucy, to był ciężki dzień i naprawdę nie jestem w stanie prowadzić teraz żadnej poważnej rozmowy. Jeśli moglibyśmy przełożyć to na później...

- Nie - przerwała mu opryskliwym tonem.

- No dobrze - odparł z rezygnacją. - Wobec tego usiądź i poczekaj, aż doprowadzę się do porządku.

- Postoję.

- Jak sobie życzysz.

Lucy zacisnęła mocno usta.

Przez ostatnie dwa dni udało mu się trzymać ją na dystans, ale wciąż oczami wyobraźni widział jej smutny wyraz twarzy, kiedy mówiła mu o Emily. I w żaden sposób nie mógł się go pozbyć. O dziwo, nawet zapamiętał imię tej dziewczynki. Doszedł do wniosku, że za bardzo się w to wciągnął.

Kiedy się wytarł, dotknął dłonią twarzy i postanowił zgolić świeży zarost. Miał nadzieję, że jeśli będzie grał na zwłokę, Lucy sobie pójdzie. Pięć minut później opuścił łazienkę.

Lucy nadal stała w tym samym miejscu, jakby wrosła w ziemię. Miała ściągnięte brwi, zacisnięte usta i skrzyżowane na piersiach ręce. Jej wygląd wskazywał na to, że w każdej chwili może wybuchnąć.

- No więc w czym jest problem? Wiem, że nie chodzi ci o Miguela. Kiedy przed kilkoma minutami wpadłem do niego, czuł się dobrze.

- Nie. Chodzi o nas.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że istniejemy jako „my”. Przeszyła go wzrokiem. Był pewny, że gdyby mogła, to rozszarpałaby go na kawałki. Stanął za biurkiem i spojrzął na nią.

- „Nas” nie ma. Przynajmniej nie w sensie, jaki insynuujesz - oznajmiła ostrym głosem.

Wzięła głęboki oddech, a on zacisnął dłonie w pięści, żeby jej nie dotknąć.

- Próbuję ci powiedzieć, że nie rozumiem, dlaczego od dwóch dni traktujesz mnie tak chłodno. Zwierzyłam ci się ze swoich osobistych... niezwykle bolesnych doświadczeń, zresztą na twoją prośbę. A potem zacząłeś zachowywać się tak, jakbyś mnie w ogóle nie znał.

Nie ma chyba na świecie wulkanu, który wyglądałby tak groźnie i wyrzucał z siebie tak wielką ilość iskier jak ta stojąca przede mną kobieta, pomyślał. Nie może jej jednak pokazać, że to robi na nim jakiegokolwiek wrażenie.

- Więc dlatego, że opowiedziałas mi historię swojego życia, mam zostać twoim najlepszym przyjacielem?

Lucy odskoczyła do tyłu tak gwałtownie, jakby została spoliczkowana. Po raz pierwszy w życiu przysła jej do głowy myśl, że mogłaby zaatakować kogoś w złości.

Ponownie zacisnęła zęby. Mogłaby zadać mu cios... tak, to byłoby najdelikatniejsze, co chciałaby zrobić. Przejechać go samochodem, podpalić, wyrwać mu paznokcie szcypcami. Och, ci mężczyźni.

Zawsze była rozjemcą, kimś, kto dwoił się i troił, żeby wszystkich uszczęśliwić.

- Posłuchaj, ty arogancki egoisto, nie spodziewam się, że będziesz moim najlepszym przyjacielem, ale oczekuję, że będziesz traktował mnie uprzejmie. Nawet pracownicy szpitala zauważyli, jak się wobec mnie zachowujesz. Pytano mnie, co zrobiłam, że doprowadziłam cię do szaleń. Z jakichś bliżej mi nieznanych powodów jesteś tu lubiany. Twój stosunek do mnie utrudnia mi pracę, bo personel zakładu, że zrobiłam coś złego. A ponieważ jestem tutaj nowa, wszyscy będą stać po twojej stronie.

Wzięła głęboki oddech, a kiedy Ryan otworzył usta, zamierzając coś powiedzieć, powstrzymała go, unosząc rękę do góry.

- Chcę... nie, domagam się, wręcz żądam, żebyś okazywał mi szacunek. Nigdy nie popełnię już błędu, wierząc, że jestem kimś więcej niż tylko koleżanką, z którą musisz pracować. Będę wykonywać swoje zadania możliwie jak najlepiej i oczekuję od ciebie tego samego.

Ryan zrobił krok w jej kierunku.

- Czy skończyłaś? - wycodził przez zęby. Lucy wahała się przez chwilę.

- Nie, nie skończyłam - odparła podniesionym głosem. - Nie bój się, już nigdy nie powierzę ci żadnej swojej tajemnicy. Nigdy więcej ci się nie zwierzę.

To powiedziawszy, odwróciła się na pięcie i sztywnym krokiem wymaszerowała z pokoju. Ręce jej drżały, a palce zbieleły, bo mocno zaciskała pięści. Stukot obcasów na wyłożonej kafelkami podłodze korytarza był zgodny z przyspieszonym rytmem jej serca.

O rany, jak mi lekko na duszy, pomyślała z ulgą. Czuła się wyzwolona. Co za drań! A ona jest głupia. Jak w ogóle mogło jej przyjść do głowy, że istnieje szansa, aby zostali przyjaciółmi?

Poczuła się silniejsza. W końcu walczyła o swoje prawa.

Wchodząc do pokoju, uśmiechnęła się do siebie, Odetchnęła z ulgą, widząc, że nikogo w nim nie ma. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać, ponieważ wciąż czuła się oszołomiona. Gdyby opowiedziała jakiejś koleżance o tym, co zaszło, ona na pewno zdziwiłaby się, że zbesztala tak wspaniałego, czarującego, życzliwego wobec wszystkich pielęgniarek i pacjentów doktora Ryana O'Doherty'ego. Ha, ha, ha! Wobec wszystkich, tylko nie wobec niej...

Czyżby była zazdrosna o to, że nie traktuje jej tak samo jak inne kobiety? Nie, to niemożliwe. A jednak... Ale on jej nie lubi. Jakoś da sobie z tym radę. Tak naprawdę złościł ją tylko fakt, że ona go polubiła.

Nagle zauważyła, że ma wiadomość w komputerze. Otworzyła więc skrzynkę odbiorczą i zobaczyła tekst e-maila, którego przysłał jej pan Matherson z personalnego. Prosił, aby ona i Ryan przyszli na przyjęcie pożegnalne Jacka Cartera razem, dając w ten sposób do zrozumienia wszystkim obecnym, że program ich współpracy doskonale się sprawdza.

- Cudownie. Po prostu wspaniale! - jęknęła, w myślach przyznając rację Ryanowi, który negatywnie osądzał ten program.

Przyszła kolejna wiadomość. Tym razem od Ryana: „Zakładam, że dostałaś e-maila od Mathersona. Przyjadę po ciebie o siódmej”.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wszedł na drugie piętro położone nad restauracją Volpentesty i spojrzął na jaskrawo pomalowane drzwi. W odpowiedzi na jego e-mail Lucy przysłała mu lakoniczną wiadomość: „Drugie piętro, czerwone drzwi”.

To był jedyny otrzymany od niej sygnał od chwili, gdy opuściła jego gabinet.

Podczas codziennych obchodów starała się stać jak najdalej od niego. Jakby chcąc zamaskować okazywany mu lodowaty chłód, traktowała bardzo przyjaźnie wszystkich pozostałych kolegów, a także pacjentów. Jej ostentacyjnie promienny nastrój przygasał gwałtownie, gdy tylko zbliżał się do niej Ryan.

Kiedy miała pytania dotyczące pacjentów, zwracała się z nimi do jego asystentki. Gdy mały Miguel zaczął gorączkować i zachodziła obawa, że będzie trzeba go ponownie operować, Lucy nie poprosiła Ryana o radę przed rozmową z rodziną chłopca, której chciała dodać otuchy.

Ryan też był zaniepokojony pogorszeniem się stanu małego pacjenta, ale nie rozmawiał o nim z Lucy, bo nie chciał stworzyć wrażenia, że jako pierwszy wyciąga rękę do zgody. Zdawał sobie sprawę, że ona nie ma ochoty na jego towarzystwo i choć dni dłużyły mu się niemiłosiernie, nie zamierzał wykonywać żadnych pojednawczych gestów.

Czy nie tego właśnie chciał?

Podszedł do drzwi mieszkania i przez chwilę stał bez ruchu. Nie pamiętał już, kiedy był tak bardzo zdenerwowany.

- Ona nie powinna mnie onieśmielać - mruknął do siebie, a potem wziął głęboki oddech i powoli wypuszczając powietrze z płuc, zapukał do drzwi, które od razu się otworzyły.

- Jestem gotowa - oznajmiła Lucy, wychodząc na korytarz i przekręcając klucz w zamku.

Miała na sobie zapięty już płaszcz, na szyi chustkę w odcieniach różu, a wokół niej unosił się delikatny zapach polnych kwiatów.

Na widok jej rozpuszczonych włosów, które wyglądały niezwykle pięknie, Ryan poczuł nagle ucisk w sercu. Gdyby tylko mógł ich dotknąć...

- Proszę - wymamrotał, puszczając ją przodem.

Kiedy zeszli na dół, Ryan wręczył parkingowemu kwit opłaty.

- Myślałam, że pojedziemy tam taksówką - powiedziała Lucy ze zdumieniem.

- Nie dzisiaj.

Kiedy parkingowy podjechał do nich dwumiejscowym, nisko zawieszonym samochodem sportowym, Ryan z wielką przyjemnością obserwował Lucy, która z podziwu niemal otworzyła usta.

Wyraźnie spodobało jej się jego auto. Zniosła nawet dotyk jego ręki, kiedy pomagał jej wsiąść.

Zatrzasnął drzwi, zbierając siły na jazdę tak niewielkim samochodem z wściekłą na niego kobietą.

Kiedy jechali Piątą Aleją, Lucy wpatrywała się w profil Ryana migający w świetle ulicznych latarni. Po raz kolejny musiała przyznać, że jest przystojny. Gdy się uśmiechał, zapierało jej dech w piersiach.

I co z tego, skoro ją odepchnął? Zlekceważył. Nie lubiła mężczyzn, którzy walczyli z jej uczuciami.

Gdy na nią spojrział, pospiesznie odwróciła wzrok.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Poza tym, że zostaliśmy zmuszeni do tego, aby razem uczestniczyć w tym przyjęciu? O to ci chodzi?

- Przecież wiesz, że to nie był mój pomysł. Lucy westchnęła.

- Tak, wiem. - Zapadła cisza.

Minutę później ponownie na nią spojrział.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że twoje włosy są aż tak długie. Zawsze je splatasz w warkocz...

- Są za długie, ale zapuszczam je, żeby można było zrobić z nich peruki dla pacjentów chorych na raka.

- Jaka szkoda - odparł, a potem spytał: - Czy twoja siostra ma takie same włosy?

- Nie. Nie jesteśmy identyczne.

- Wiesz, one są bardzo ładne. Poczula ogarniające ją ciepło.

- Dziękuję, ale powinieneś wiedzieć, że nie musisz prawić mi komplementów. Nie jestem twoją panią, którą musisz oczarowywać. To jest przyjęcie służbowe.

- Przepraszam, jeśli drażnią cię moje komplementy, a prowadzenie rozmowy ci przeszkadza.

- Przeżyjmy jakoś ten wieczór, możliwie jak najrzadziej poruszając tematy osobiste.

- Tego nie mogę ci obiecać.

Przez chwilę w milczeniu stali na światłach.

- Nie myślałam, że ktoś, kto mieszka w tak dużym mieście, jeździ po nim samochodem - powiedziała.

- Prowadzę dość rzadko, ale bardzo lubię jeździć moim autem. Wiesz, to również można uważać za osobisty temat - oznajmił głosem, w którym brzmiało rozbawienie.

Lucy się naburmuszyła, zdając sobie sprawę, że Ryan z niej kpi. Typowy facet.

W końcu podjęła decyzję. Jej cel składał się z trzech punktów: po pierwsze - przetrwać przyjęcie, po drugie - wrócić do domu i po trzecie - przygotować się psychicznie do poniedziałkowej pracy.

Ryan zatrzymał samochód przy krawężniku przed ozdobnym wejściem do hotelu Ritz.

Parkingowy zamierzał otworzyć drzwi od strony Lucy, ale Ryan go uprzedził i pomógł jej wysiąść. Wyciągnął do niej dłoń, a ona, wbrew jego obawom, bez wahania ją chwyciła. Ale kiedy znalazła się na chodniku, natychmiast wypuściła ją z ręki. Uznała, że za bardzo lubi go dotykać.

Ryan, jak przystało na dżentelmena, otworzył przed nią drzwi hotelu i przepuścił ją przodem.

Gdy weszli do środka, odetchnęła z ulgą, widząc, że Ryan nie zamierza podać jej ramienia, lecz idzie pół kroku za nią. Był na tyle blisko, że zapewniał jej poczucie bezpieczeństwa, ale nie miała wrażenia, że jego obecność ją przytłacza. Wstrząs, jakiego doznała, dotykając jego ręki, gdy pomagał jej wysiąść, nie ustępował. Ciekawe, jaka byłaby jej reakcja, gdyby ujęła go za ramię?

Ruszyli przez wyłożony marmurowymi płytkami ceramicznymi hotelowy hol w kierunku bogato zdobionych schodów. Lucy zerknęła na Ryana, którego uwagę przyciągnął przechodzący w pobliżu doktor Rodriguez.

Kiedy spojrzał na nią, ściągnął wargi, chwycił ją za łokieć i razem ruszyli do przodu.

- Chciałbym, żebyśmy przetrwali ten wieczór, zachowując się wobec siebie możliwie uprzejmie - oznajmił. - Myślę, że to jest ważne zarówno dla mojej pracy zawodowej, jak i twojej.

Spojrzała na niego. To nie był dobry pomysł, by patrzeć w jego piękne oczy. Przełknęła ślinę.

- Nie widzę żadnego problemu - odparła. - Ja na pewno dobrze odegram swoją rolę.

Ryan zmarszczył brwi, jakby nie był zadowolony z jej odpowiedzi.

- Wobec tego istotnie nie powinno być problemu.

- Zatem umowa stoi.

Kiedy wchodzili po schodach, Ryan przysunął się do niej bliżej, chcąc zrobić miejsce dla innych par.

- Uśmiechnij się, Lucy. Wyglądasz, jakbym prowadził cię na ścieżce. - Posłała mu cierpki uśmiech. - Widzisz, to wcale nie jest takie trudne.

Kiedy poczuła na policzku jego oddech, ciarki przeszły jej po plecach.

Gdy dotarli na szczyt schodów, minęli dwuskrzydłowe drzwi i weszli do zatłoczonej sali bankietowej.

- Chciałabym zostawić płaszcz w szatni.

- Jasne. W tym czasie ja pójdę po szampana.

Lucy zwykle nie piła, a przynajmniej nie robiła tego od dłuższego czasu. Kiedy była w odmiennym stanie, alkohol nie wchodził w rachubę. W tym okresie całe jej życie obracało się wokół ciąży. Teraz próbowała o tym zapomnieć. Podążyła do szatni, a potem wsunęła numerek do ozdobionej cekinami torebki i poprawiła szal, który przykrywał jej ramiona.

Po otrzymaniu e-maila od Mathersona, a potem od Ryana, była zmuszona pójść na zakupy. Pobiegła więc do sklepu z używanymi rzeczami, który na szczęście znajdował się w sąsiednim budynku. Odetchnęła z ulgą, kiedy znalazła w nim odpowiednią suknię. Doskonale wiedziała, że lososiowy kolor jest dla niej idealny. Dekolt był nieco zbyt głęboki, ale biust prezentował się dzięki niemu bardzo atrakcyjnie. Dwa ramiączka krzyżowały się na jej plecach, a jedwabisty materiał wspaniale opinał biodra. Suknia dodawała jej pewności siebie, której tego wieczoru bardzo potrzebowała. Przeczesała włosy i oblizała wargi. Potem, zrobiwszy wszystko, co mogła, by poprawić swój wygląd, poszła szukać Ryana.

Opierał się łokciem o blat wysokiego koktajlowego stołu, trzymając w ręce kieliszek szampana. Drugi stał przed nim. Rzuciwszy na niego okiem, doszła do wniosku, że wygląda jak James Bond; jest równie przystojny i wydaje się równie niebezpieczny.

Będzie musiała stale sobie przypominać, że go nie lubi, pomyślała z determinacją. Bo inaczej zawróci jej w głowie, zanim zdąży policzyć do trzech.

Ryan, który przyglądał się grupce ludzi stojących po drugiej stronie sali, odwrócił nagle głowę i spojrzał w jej kierunku. Zamrugnął oczami i gwałtownie się wyprostował, nie przestając

na nią patrzeć, a ona poczuła przyspieszone bicie serca. Wypił duży łyk szampana i odstawił kieliszek, a potem ruszył w jej stronę.

- Pewnie cię to oburzy, ale muszę naruszyć warunki naszej umowy i powiedzieć ci, że przepięknie wyglądasz - oznajmił, stając przed nią i lekko pochylając głowę.

Jej twarz i szyja lekko się zaczerwieniły.

- Dziękuję - odparła z uśmiechem. - Myślę, że tym razem ujdzie ci to na sucho.

Ryan roześmiał się tak jakoś przyjemnie. Lucy doszła do wniosku, że przebywanie w jego towarzystwie jest niebezpieczne. Byli razem niespełna godzinę, a ona z trudem nad sobą panowała. Od dawna marzyła o tym, by mężczyzna powiedział jej, że wygląda pięknie i patrzył na nią tak, jakby do niego należała, a Ryan właśnie w tej chwili to robił. Marzyła o tym, by zasłużyć na akceptację, by mieć na świecie jakieś miejsce, które będzie należało tylko do niej. Żeby zdobyć to, co miała siostra.

- Chodź, Lucy, napijemy się szampana. Potem pokręcimy się po sali i spełnimy nasz obowiązek. - Zaprowadził ją do stolika i podał kieliszek.

Wbiła oczy w podłogę, usiłując się opanować.

Jak on może jej się przyglądać w ten sposób, skoro słowa, które płyną z jego ust, świadczą o tym, że chciałby być od niej jak najdalej? - spytała się w duchu, biorąc kieliszek. Może szampan doda jej odwagi i wybawi z zakłopotania, które czuła.

- Wypij łyk lub dwa. To pomoże ci się uspokoić.

- Skąd wiesz, że muszę się uspokoić?

- Bo widzę, że trzęsą ci się ręce.

Wspaniale, pomyślała. Przez te wszystkie dni traktował ją jak ornament ścienny, obok którego przechodził, wcale go nie zauważając. A teraz zwraca na nią uwagę? Naprawdę powinna się uspokoić.

Sączyła złocisty płyn, czując w ustach bąbelki, a potem postawiła kieliszek na stole i splótła dłonie, chcąc sprawiać wrażenie spokojnej i opanowanej.

- Zaproszenie wysłane e-mailem sugerowało, że powinniśmy podpisać się na liście osób, które wesprą finansowo przychodnię w Harlemie. Chciałabym to zrobić, zanim zapomnę...

- Dobry pomysł. Myślę, że ta lista leży na tamtym stole - stwierdził, wyciągając rękę. - Zatem prowadź.

Lucy odwróciła się i spojrzała we wskazanym kierunku. Ryan położył dłoń na jej plecach, dotykając nagiej skóry. Cofnął rękę tak gwałtownie, jakby się sparzył. Jeszcze jedna taka

niespodzianka, a wyciągnie ją stąd i zaprowadzi w jakieś ustronne miejsce. Ona warta jest grzechu...

Lucy nie zwolniła kroku, przedzierając się przez tłum stojących w grupach i rozmawiających ludzi. Ryan wciągnął powietrze i podążył za nią. Za panią psycholog, która przemieniła się w ponętą, pobudzającą zmysły syrenę. Nic nie wskazywało na to, że kiedyś była w ciąży.

Nie przejmował się tym, że Lucy może uważać jego komplement za naruszający zasady ich umowy. Po prostu nie mógł się powstrzymać. Nie był jedynym mężczyzną w sali, który jej się przyglądał. I bardzo mu się to nie podobało. Nagle zapragnął, aby należała tylko do niego, choć doskonale wiedział, że to życzenie nie jest realistyczne.

- Ryan! - zawołał jakiś mężczyzna, kiedy zbliżali się do stołu, na którym leżała lista. - Miałem nadzieję, że cię tu spotkam.

Ryan odwrócił się i zobaczył Alexa Rodrigueza.

- Cześć, Alex - powiedział tonem bardziej cierpkim, niż zamierzał.

Lucy cierpliwie czekała, stojąc obok niego.

- Musimy porozmawiać, Ryan. Wpadnij do mnie jutro rano przed wizytą u pierwszego pacjenta.

- Dobrze, będę u ciebie w pół do siódmej. Ja także chciałbym z tobą porozmawiać.

Patrzyli na siebie jak dwa wilki, które próbują rozstrzygnąć, do kogo należy zdobycz. Ryan zdawał sobie sprawę, że Alex już zwyciężył. Dostał nominację na ordynatora neurologii.

- W porządku - odrzekł Alex, a potem spojrzał na Lucy.

- Czy poznałeś pannę Edwards? - spytał go Ryan.

- Tak. Cieszę się, że pani z nami pracuje.

- Dziękuję.

- O, doktor Woods! - Ryan pomachał do jasnowłosej kobiety.

- Cześć, Ryan - odparła, zatrzymując się obok niego. Uśmiechnęła się, ale kiedy jej wzrok padł na Alexa, spoważniała.

Czyżby Alex z nią również skrzyżował miecze? - spytał się w duchu Ryan.

- Layla, przepraszam, że mnie nie było, kiedy ogłaszano twój awans na ordynatora pediatrii. Moje gratulacje.

- Dziękuję, Ryan.

- Czy poznałaś Lucy Edwards, naszego nowego psychologa, i doktora Alexa Rodrigueza, nowego ordynatora neurologii?

- Witaj, Lucy - powiedziała Layla, podając jej rękę, a potem odwróciła się do Alexa i po chwili wahania uściśniła jego wyciągniętą dłoń. - Cześć, Alex.

Wymówiła jego imię dość chłodnym tonem, a uścisk ich dłoni był krótki i zdawkowy.

Czyżby coś ich łączyło? - pomyślała Lucy. Ciekawe. Może Ryan nie jest jedynym człowiekiem, któremu Alex nadepnął na odcisk.

- Cześć, Layla - powitał ją Alex równie szorstko.

- Widzę, że już się znacie - mruknął Ryan.

- Owszem - odrzekł Alex, nie odrywając wzroku od Layli. - Jak się miewasz?

- Świetnie. A ty?

- Dobrze.

Gdyby między mną a Lucy znajdowała się góra lodowa, byłaby niczym w porównaniu z polarną mgłą dzielącą tych dwoje ludzi, pomyślał Ryan.

- Czy twój mąż jest tutaj? - spytał Alex, rozglądając się po sali.

Layla zbladła.

- Nie, rozwiedliśmy się...

- Przykro mi to słyszeć - przerwał jej Alex, ale w jego głosie nie było współczucia. - Proszę mi wybaczyć, ale zobaczyłem kogoś, z kim muszę porozmawiać. - Skinął głową i odszedł.

- Szliśmy właśnie z Lucy podpisać listę. Czy chciała byś do nas się przyłączyć, Layla? - zapytał Ryan.

- Nie, dziękuję. Już to zrobiłam. Muszę chwilę pogadać z Jackiem, więc zobaczymy się później - odparła Layla, patrząc na odchodzącego Alexem.

- Wobec tego do zobaczenia. - Ryan objął Lucy w pasie. Kiedy nie odsunęła się, przeszył go kolejny dreszcz.

- Miło było panią poznać, doktor Woods - powiedziała Lucy, a gdy Layla była już poza zasięgiem jej głosu dodała szeptem: - O co w tym wszystkim chodzi?

- Sam nie wiem, ale myślę, że coś ich łączyło. I że ten związek nie zakończył się happy endem.

- Mam wrażenie, że Layla nie jest jedyną osobą, która za nim nie przepada. - Spojrzała na Ryana znacząco. Wiem, że chciałeś być ordynatorem oddziału.

- To prawda.

- Według mnie byłoby to logiczne.

- Ja też tak myślałem. Poświęciłem wiele czasu sprawom tego oddziału, przykładowo wypełniałem swoje obowiązki i byłem pewny, że komisja wybierze właśnie mnie.

- Czy wiesz, dlaczego cię nie wybrali?

- Tak. To był zły dzień na rozmowę kwalifikacyjną.

- Jak to?

Musi jej to wyjaśnić, bo ona nie ustąpi.

- Mój ojciec... odszedł z tego świata tydzień przed tą rozmową. Natychmiast po niej pojechałem na jego pogrzeb. W tym stanie umysłu nie mogłem wyrzeć dobrego wrażenia na komisji.

Choroba i śmierć ojca nie tylko zniszczyły Ryana emocjonalnie, lecz również utrudniły mu karierę. Termin wyboru ordynatora nie mógł być dla niego mniej korzystny.

Lucy położyła rękę na jego ramieniu i spojrzała na niego ze współczuciem.

- Ryan, okropnie mi przykro. To wydaje się niesprawiedliwe.

- Takie jest życie - odparł sentencjonalnie, wykrzywiając usta w uśmiechu. - Chodź, podpiszmy tę listę, a potem coś zjemy. Może nawet zatańczymy?

Lucy nie była pewna, czy chce z nim zatańczyć, bo to oznaczałoby fizyczną bliskość. Bała się, że pod wpływem dotyku Ryana może zrobić z siebie idiotkę.

- Chodźmy coś zjeść. Nie zatańczę z tobą, bo to nie jest randka - powiedziała, spoglądając na niego.

- Chcesz się założyć?

Kilka minut później szli w stronę stołów, na których stały przystawki. Po drodze zatrzymywali się witani przez znajomych Ryana. Był wyraźnie lubiany przez kobiety. Zresztą przez mężczyzn również.

- Może usiedlibyśmy na chwilę i zjedli coś, nie żonglując talerzami? - zaproponował, idąc w kierunku wolnego stolika.

Jedząc miniaturowe zakąski, Lucy rozejrzała się po sali i dostrzegła doktor Woods, która patrzyła w stronę wejścia, gdzie doktor Rodriguez wyprowadzał przez drzwi jakąś ładną kobietę, obejmując ją w pasie. Doktor Woods wzruszyła ramionami i podjęła przerwana na chwilę rozmowę ze stojącym obok niej mężczyzną. Lucy doszła do wniosku, że sposób, w jaki Layla obserwuje doktora Rodrigueza, bardzo kontrastuje z jej nonszalanckim sposobem bycia. Że wyraźnie nie jest zadowolona, że Alex wychodzi z inną kobietą.

- Jak myślisz, Ryan, czy długo jeszcze będziemy musieli tu zostać?

- Dlaczego pytasz? - Wsunął do ust tartinkę. - Czyżbyś chciała jak najszybciej ode mnie uciec? Myślałem, że bardzo miło spędzamy tutaj czas.

- No cóż, dajesz mi do zrozumienia, że nie chcesz poświęcać mi więcej czasu niż to konieczne. - Pchnęła swój w połowie pełny talerz na środek stołu i zerwała się z miejsca. - Jeśli nie jesteś gotów stąd wyjść, to wrócę do domu taksówką.

Ryan również wstał.

- Dobrze, możemy ruszać. Spełniliśmy swój obowiązek. Miałem tylko nadzieję, że za tańczę z tobą choć jeden raz.

- Nie jesteśmy na randce, tylko w pracy - odburknęła, podchodząc do szatni i podając numerek.

Ryan wziął płaszcz i trzymał, dopóki go nie włożyła. Stał tak blisko niej, że niemal czuła jego ciepło. Postąpiła krok do przodu, udając, że zakłada szalik. Zrobiła to tylko dlatego, by złapać oddech i odzyskać panowanie nad sobą.

- Nawiasem mówiąc, rozumiem sprawy dotyczące funkcji ordynatora, ale nie tłumaczę one do końca, dlaczego tak bardzo nie lubisz Rodrigueza - powiedziała Lucy, kiedy schodzili po schodach. - Tu chyba chodzi o coś więcej...

- O coś więcej? - spytał, najwyraźniej nie chcąc rozmawiać na ten temat.

- Owszem. Myślałam, że jesteś człowiekiem beztroskim i pogodnym, a ty byłeś... jak by to powiedzieć... oschły, surowy, niezadowolony. - Przystanąła się i spojrzała na niego badawczo. - Widać, że go nie lubisz. Dlaczego?

- To sprawa osobista.

- Znowu zaczynasz się zachowywać w typowy dla siebie sposób. Kiedy rozmowa schodzi na tematy osobiste, zamykasz się w sobie, a...

- Posłuchaj - przerwał jej bezceremonialnie. - Przykro mi, jeśli uważasz, że nie przywiązuję wagi do twoich obiekcji, ale nie zrobiłem nic złego. Nie jestem twoim spowiednikiem. Zwierzyłaś mi się z kłopotów, a ja uważnie cię wysłuchałem. Teraz musimy zająć się sprawami bieżącymi.

Nie mógł wyznać, że jest pełen podziwu dla jej postępowania. Gdyby to zrobił, mogłaby ponownie potraktować go jak spowiednika. A on pożądał jej ponętnego ciała, ale za nic w świecie nie chciał się z nią wiązać.

Lucy zagryzła wargi i spojrzała na niego z gniewem.

- Twoja uwaga była nietaktowna, a nawet obraźliwa. Zachowujesz się jak słoń w składzie porcelany. Wcale nie jesteś taki, za jakiego cię uważają.

- Chyba nikt nie jest taki, za jakiego chciałby uchodzić.

- Twój pogląd na świat i ludzi jest pesymistyczny i cyniczny.

- Być może, ale chyba musisz przyznać, że mam rację. Wszyscy ukrywamy coś przed otoczeniem.

- To prawda.

- Ale ty z jakiegoś powodu uważasz, że powinienem otworzyć przed tobą duszę. Zachowujesz się jak rodzinny terapeuta, który pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na jakiej podstawie uzurpujesz sobie prawo do ingerencji w moje sprawy?

Lucy spojrzała na niego z wściekłością, a on poczuł wewnętrzne zadowolenie. Kiedy była na niego zła, wydawała się jeszcze ładniejsza.

- Och, ty... - wykrztusiła. - Zawsze przenosisz każdy temat na płaszczyznę osobistą.

Chyba użyła określenia „osobisty” o jeden raz za dużo, bo Ryan nagle wyzbył się hamulców. Objął ją w pasie i wciągnął do małej wnęki, obok której akurat przechodzili.

- Zaraz ci pokażę, jak rozumiem określenie „osobisty” - mruknął zdławionym głosem, a potem lekko się pochylił i przycisnął wargi do jej ust.

To nie był łagodny pocałunek. Był namiętny, niemal brutalny. Ryan zapomniał o całym świecie. Myślał tylko o Lucy. Nie czuł się tak szczęśliwy od bardzo dawna.

Gdy wyrwała się z jego objęć, natychmiast zatęsknił za jej ustami. Miał ochotę na więcej. Wieczór przebiegał o wiele przyjemniej, niż się spodziewał.

Lucy cofnęła się o krok i przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Potem rozejrzała się nerwowo, jakby chcąc sprawdzić, czy ktoś ich widział.

- Nie miałaś prawa tak się zachować - wycedziła przez zęby, spoglądając na niego z oburzeniem.

- To nie miało nic wspólnego z prawem. To była sprawa osobista.

Otworzyła usta, jakby chcąc coś dodać, a potem machnęła ręką i ruszyła w kierunku wyjścia z hotelu.

- Na parking wychodzi się z drugiej strony - oznajmił, doganiając ją i chwytając za rękę.

- Mam zamiar wsiąść do taksówki.

- Daj spokój, Lucy. Przepraszam cię. Przywiozłem cię na to przyjęcie, więc pozwól mi zadbać o to, żebyś bezpiecznie wróciła do domu.

W drodze powrotnej milczała. Kiedy zatrzymali się na światłach, Ryan zerknął na nią ukradkiem. Miała zamyśloną twarz i przesuwała palcem po dolnej wardze. Uśmiechnął się z satysfakcją, widząc, że jego pocałunek wywarł na niej pewne wrażenie.

- Zatrzymaj się pod tą restauracją - powiedziała, gdy wjechali na jej ulicę. - Nie musisz parkować, dam sobie radę sama. Wiem, że to jest sprzeczne z twoimi zasadami, ale mam już na dzisiaj dosyć...

On bynajmniej nie miał dosyć jej towarzystwa, ale zatrzymał się przy krawężniku i otworzył jej drzwi auta.

- A więc do jutra, Lucy.

- Do jutra - odparła obojętnym tonem, ale jej mina obudziła w nim nadzieję na dalsze pocałunki.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wpatrywała się w niewielką przestrzeń swego biura.

Ryan ją pocałował, i to namiętnie. Tak jak nikt dotąd. Na samo wspomnienie zdrząły jej usta. Wysunęła koniuszek języka i oblizwała dolną wargę. Czy nadal czuła jego smak? Z trudem powstrzymała się, by nie jęknąć.

- Lucy, czy dobrze się czujesz?

- Co?

- Już dwa razy do ciebie mówiłam. Czy czymś się martwisz? - zapytała Nancy.

- Och, nie, wszystko jest w porządku. Po prostu się zamyśliłam.

- Jak ci się układa z Ryanem?

Serce Lucy zaczęło bić w przyspieszonym rytmie zrobiło się jej gorąco, a twarz poczerwieniała.

- W porządku.

Nancy dokładniej jej się przyjrzała.

- Chyba nie zakochałaś się w tym złotoustym demonie, co?

- Nie. My tylko współpracujemy - odparła, starając się, aby jej głos brzmiał przekonująco i wmawiając sobie że ten pocałunek nie ma dla niej żadnego znaczenia.

- Rozumiem - odrzekła Nancy z niedowierzaniem, uśmiechając się znacząco, a potem wzięła dokumenty z biurka. - Hej, przecież dzisiaj jest sobota. Może zanim pójdziesz do domu,

wpadniesz na drinka do O'Malleya? Będą tam wszyscy. Przedstawię cię, poznasz ich... Powinnam była zaproponować ci to wcześniej.

Lucy wahała się przez sekundę. Miała do wyboru: wrócić do domu i spędzić wieczór w samotności lub poznać członków personelu szpitala.

- Będzie mi bardzo miło. Dziękuję.
- Wspaniale, Lucy. O której zwykle Ryan kończy obchód?
- Dzisiaj... około szóstej.
- Doskonale. Wobec tego spotkajmy się tutaj.
- Dobrze.

Może jeśli spędzi z grupą ludzi sobotni wieczór i trochę się zabawi, to przestanie zaprzątać sobie głowę Ryanem. Na samą myśl o tym, że znów go zobaczy, przeszywał ją dreszcz podniecenia. I nie mogła nic na to poradzić.

Po wieczornym obchodzie szła na spotkanie z Nancy w holu. Jej współpracownica musiała dostarczyć jakieś dokumenty do sekretariatów różnych oddziałów, więc umówiły się na parterze. Lucy okrążyła stanowisko pielęgniarek i zobaczyła tam Ryana.

Kiedy ją ujrzał, odsunął krzesło i wstał.

- Witaj, Lucy! - zawołał.

Na jego widok poczuła mrowienie w całym ciele. Zdarzało się tak za każdym razem, kiedy na niego spojrzała, więc zaczęła uważać to za normalną reakcję. Przestała z tym walczyć i była zadowolona, że tego po niej nie widać.

- Raczej do widzenia. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu - odparła, przechodząc obok niego.

Ryan dogonił ją na końcu długiego pulpitu.

- Hej! - zawołał, rozglądając się wokół, jakby sprawdzał, czy ktoś ich nie obserwuje. - Co byś powiedziała na to, żebyśmy dzisiaj zjedli pizzę u Volpentesty?

Nie była pewna, czy zniosłaby kolejny wieczór tylko w jego towarzystwie. Ryan doskonale zdawał sobie sprawę z jej samotności i bezbronności. Czy wykorzystałby swą przewagę? Czy może mu zaufać? Z pewnością nie mogła polegać na sobie, bo jeśli znów by ją pocałował, to nie umiałaby go powstrzymać. Czy przeżyłaby, gdyby potraktował ją tak jak przedtem? Była kłębkim nerwów.

- Ten wieczór mam już zaplanowany - odparła z ulgą. Gdy spojrzał na nią, w jego oczach malowało się zaskoczenie, a potem rozczarowanie. Widząc to, poczuła, że jej serce zaczyna bić szybciej. Ryan nie przyjmował do świadomości odtrącenia.

- Chciałabym jeść kolację z kimś, kto byłby zainteresowany moim towarzystwem, a nie pizzą, którą zrobił Volpentesta.

- To nie ma z tym nic wspólnego. Ja... ja...

- Żartowałam, Ryan. Nie tylko ty możesz dowcipkować.

- Myślałem, że ostatniego wieczoru okazałem ci sympatię. Smakujesz o niebo lepiej niż jakakolwiek pizza... - zauważył szeptem.

Lucy poczuła rozgrzewające ją ciepło i pospiesznie odwróciła wzrok.

- Cześć, Lucy, przecież miałyśmy się spotkać w holu - powiedziała Nancy, podchodząc do nich.

- Właśnie idę. Przepraszam, że musiałaś wracać...

Nancy spojrzała z uśmiechem na Lucy, a potem na Ryana.

- Idziemy na drinka do O'Malleya. Może chciałbyś się do nas przyłączyć, Ryan?

Lucy siłą woli powstrzymała jęk zawodu.

- Z chęcią. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia, więc spotkajmy się na miejscu - odparł Ryan, a potem szeroko uśmiechnął się do Lucy.

- Wspaniale. Zajmiemy dla ciebie miejsce - oznajmiła Nancy.

Kiedy Nancy i Lucy weszły do pubu, było w nim bardzo głośno i tłoczno. Lucy była zadowolona z hałasu, bo uniemożliwiał on Nancy kontynuowanie pytań dotyczących Ryana.

Nancy powitała przyjaznym uśmiechem siedzących w kącie sali znajomych, a potem podeszła do nich i przedstawiła im Lucy.

- Musimy zająć miejsce dla Ryana - oznajmiła Nancy. Wszyscy odwrócili głowy i spojrzeli na nią z zaskoczeniem.

- Dla doktora O'Doherty'ego? Przecież on nigdy z nami nigdzie nie chodził. Co się stało?

Lucy była zdziwiona, że tak bardzo lubiany przez członków personelu lekarz nie utrzymywał z nimi kontaktów towarzyskich. W tym momencie do pubu wszedł Ryan i ruszył w ich kierunku. Miał na sobie dzinsy i jasnoniebieski sweter. Gdy się zbliżał, kobiety odwróciły głowy, by na niego spojrzeć.

- Czy jest dla mnie miejsce? - zapytał Ryan.

- Oczywiście.

Nancy i Lucy przesunęły się, a on usiadł między nimi na drewnianej ławie. Ponieważ było dość ciasno, ich uda stykały się, a bijące od niego ciepło grzało Lucy w nogę. Zaczęła się wiercić, usiłując się odsunąć.

- Lucy, jeśli nie przestaniesz się kręcić, to pomyślę, że coś mi proponujesz - wyszeptał Ryan.

Wzięła głęboki oddech i odwróciła głowę, chcąc na niego spojrzeć. Ryan szeroko się uśmiechał.

Potem Lucy słuchała rozmowy toczącej się przy stole. Ryan opowiadał dowcipy, z których wszyscy się śmiali. Był bardzo zabawny. W pewnym momencie odchylił się do tyłu i spojrzał na nią.

- Czy coś jest nie tak? - spytał.

Ludzie zadawali jej to pytanie, kiedy o nim myślała. Doszła do wniosku, że będzie musiała popracować nad tym, aby nie uzewnętrzniać uczuć.

- Wszystko w porządku - odparła. - Po prostu jestem trochę zmęczona.

- Obydwoje mieliśmy ciężki dzień. Chodź, odprowadzę cię do domu.

- To nie jest konieczne. Dam sobie radę.

- Nie, chciałbym być pewny, że bezpiecznie wrócisz.

Odwróciła od niego wzrok i zobaczyła, że siedzący przy stole uważnie im się przyglądają. Czyżby myśleli, że on zamierza ją pocałować?

- No dobrze.

Ryan wstał i spojrzał na kolegów.

- Odprowadzę Lucy do domu - oznajmił. - Nie czuje się najlepiej.

Lucy nie mogła zaprzeczyć słowom Ryana, bo wiedziała, że wypadłoby to głupio.

- Dobranoc - powiedziała cicho, machając do nich na pożegnanie.

Ryan poprowadził ją przez tłum gości, torując jej drogę i trzymając za rękę. Zdjęli ze stojącego przy drzwiach wieszaka płaszcze, włożyli je i wyszli. Na zewnątrz panował chłód i wiał zimny wiatr. Kiedy Ryan wypuścił jej dłoń, od razu poczuła się zagubiona.

- Oni z pewnością myślą, że coś nas łączy - mruknęła niepewnie Lucy.

- A czy to nieprawda? - spytał z przewrotnym uśmiechem.

- Jeśli tak jest, to nic mi o tym nie wiadomo. - Wbiła wzrok w chodnik. - Tydzień temu traktowałeś mnie jak zarazę, nawet nie chciałeś ze mną rozmawiać. Dlaczego miałabym uważać, że coś się zmieniło?

- Być może dlatego, że cię pocałowałem, a ty odwzajemniłaś ten pocałunek.

- Myślisz, że jeden pocałunek coś zmienia?

- Jestem wstrząśnięty, że tak wrażliwa kobieta, która chciałaby wszystkich uszczęśliwić, jest w głębi duszy sceptyczką.

- Nie możesz zamieniać wszystkiego w żart za każdym razem, kiedy nie podoba ci się temat rozmowy.

- Jestem absolutnie pewny, że mogę - odparł z szerokim uśmiechem.

- Chyba oszaleję - mruknęła bardzo cicho.

- Słyszałem.

Kiedy ruszyli dalej, przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Wszystkie światła na Manhattanie były zapalone. Lucy żałowała, że nie widzi na niebie gwiazd, ale miała intrygujące wrażenie, iż uczestniczy w koncercie muzyki techno lub w imprezie z gatunku „światło i dźwięk”.

- Zawsze mnie zdumiewa ta feeria barw i odgłosów - wyszeptała.

- Tak, to dość fascynujące. I hałaśliwe. Powinnaś zobaczyć światła z moich okien. Myślę, że byłabyś pod wrażeniem.

- Czy nie jest to prowokacja typu „Czy chciałabyś obejrzeć moją kolekcję znaczków”?

Ryan wybuchnął śmiechem.

- Może i masz rację.

- Więc wielki doktor O'Doherty wabi kobiety do swojego wilczego gniazda słowami: „Chodź, zobacz widok z moich okien”?

- Nie zapraszam do siebie byle kogo - odparł poważnym tonem.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Bo cenię prywatność, zacisze własnego domu. Nagle wiatr się wzmógł i zaczęło lekko mżyć.

- Wezwę taksówkę, dobrze? - zaproponował.

- Nie, stąd już trafię. Pojadę metrem.

- Zgoda.

- Zgoda?

- Tak, zgoda. Pojadę z tobą.

Nie próbowała się z nim spierać. Doszła do wniosku, że nie jest to warte zachodu.

Zeszli na bardzo zatłoczony peron. Kiedy czekali na pociąg, bez przerwy popychano ich ku sobie. Lucy uwielbiała bijące od ciała Ryana ciepło. Lubiała też poczucie bezpieczeństwa, które jej zapewniał.

Gdy pociąg przyjechał, a ludzie zaczęli wysiadać, objął ją w pasie i przyciągnął bliżej do siebie.

- Chodźmy - powiedział, popychając ją lekko do przodu, kiedy ostatnia osoba wysiadła z wagonu. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte. - Jeśli zamierzasz jeździć metrem o tej porze dnia, to będziesz musiała nauczyć się agresji - szepnął jej do ucha.

Lucy rozejrzała się, bezskutecznie szukając wolnego uchwytu, bo chciała utrzymać równowagę, gdy pociąg ruszy.

- Oprzyj się o mnie - powiedział Ryan, stojąc za jej plecami.

- Dam sobie radę.

- Tak? I upadniesz. Może zrobisz sobie albo komuś krzywdę - dodał, ponownie ją obejmując w pasie. - Pamiętaj, że proponowałem taksówkę.

- Myślę, że wykorzystujesz ten tłok jako pretekst...

- Pretekst do czego? Do tego, żeby cię objąć? No dobrze, może masz rację. Jest mi to na rękę.

- Ryan, nie drażnij się ze mną. Nie mam na to ochoty.

Próbowała wyrwać się z jego uścisku, ale objął ją jeszcze mocniej, gdy usłyszeli sygnał dający znać, że drzwi zostały zamknięte.

- Wcale się z tobą nie drażnię. Robię, co mogę, żeby nasze stosunki uległy poprawie.

Bardzo tego chciała. Zastanawiała się, czy będzie ją traktował tak samo jak przedtem, ale nie chciała się angażować, żeby potem nie przeżyć rozczarowania.

Nie wiedziała, że podróż w brudnym, nagrzanym i zatłoczonym wagonie metra może być seksualnie podniecająca. Choć otaczał ich tłum ludzi, jej świat zawężał się do Ryana. Jego bliskość wpływała stymulująco na jej zmysły.

- Czy to nie twoja stacja? - spytał, dotykając ustami jej ucha.

- Słucham?

- Wsiadasz na następnym przystanku.

- Aha, tak.

- Gdzie błędziłaś myślami? - Jego śmiech był niski i sugestywny.

Co za przekłety facet, pomyślała. Doskonale wie, jak to wszystko na mnie działa.

Kiedy wyszli na ulicę, chłodne wilgotne powietrze ją otrzeźwiło, wyrwało z rozkosznego transu, w którym myślała wyłącznie o Rynie. Odsunęła się od niego możliwie jak najdalej. Gdy stanęli pod jej domem, odwróciła się w jego stronę i spojrzała mu w oczy.

- Dziękuję, że mnie odprowadziłeś, choć nie było to wcale konieczne.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Było bardzo miło - odparł z szelmowskim błyskiem w oczach.

- Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

- Nie zamierzasz mnie zaprosić?

- Nie.

- Jest mi bardzo przykro.

- Chciałabym wiedzieć, co tu się dzieje. Widzę, że prowadzisz jakąś grę. Po dzisiejszym wieczorze w pubie wszyscy zaczną o nas gadać, a ja potrzebuję jak najmniej emocjonalnych wstrząsów. Nie interesuje mnie wstąpienie do haremu doktora O'Doherty'ego.

- Lubię szczerość. Po pierwsze, nie mam haremu. To dobry pomysł, ale pracuję zbyt wiele godzin, żeby móc uszczęśliwić grupę kobiet. Po drugie, za dużo myślisz. Dlaczego nie możemy spróbować znów zostać przyjaciółmi? Jutro mam wolny dzień, więc co powiesz na to, żebyśmy oprowadził cię po Nowym Jorku? Czy jest tu jakieś miejsce, w którym nigdy nie byłaś, a chciałabyś je zobaczyć?

- Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi...

Uniósł ramiona, jakby chciał ją ostrzec.

- Okej. Przepraszam. Wszystko popsułem. Jutro nie będzie żadnych zobowiązań, żadnych wymagań, tylko dwoje ludzi cieszących się wolnym dniem. Co ty na to?

Lucy milczała przez dłuższą chwilę.

- Dobrze. Wobec tego chciałbym zobaczyć Statuę Wolności.

Kiedy, będąc dzieckiem, przyjechała do Nowego Jorku, jej rodzice zamierzali zabrać ją i Alexis do Statui, ale pokłócili się i zapomnieli o tej wycieczce. Pomyślała, że byłoby miło wybrać się tam z kimś i razem ją obejrzeć.

- Świetnie. Kocham tę staruszkę. Wobec tego wyśpijmy się, a ja zabiorę cię stąd około jedenastej. Co ty na to? Tylko ubierz się ciepło. O tej porze roku na promie jest zimno. Zatem do zobaczenia jutro. - Odwrócił się i uniósł rękę, chcąc zatrzymać przejeżdżającą taksówkę.

Czyżby została wessana przez wir, który nazywa się Ryan O'Doherty?

Ryan zapukał do drzwi mieszkania Lucy dokładnie o jedenastej, a ona zaraz je uchyliła.

- Jeszcze nie jestem gotowa. Daj mi minutę.

- A czy mogę wejść? - zapytał.

- Chyba tak - odparła po dłuższej chwili, a potem otworzyła szerzej drzwi.

Ryan podążył za nią do małego, lecz zadbanego pokoju. Uderzył go brak osobistych rzeczy. Nawet będąc kawalerem, miał porozwieszane na ścianach w domu rodzinne fotografie. A tu nie było niczego, co wskazywałoby, że Lucy ma rodzinę.

Miała na sobie dzinsy, które podkreślały jej znakomitą figurę i uwypuklały wszystkie krągłości. Ryan żałował, że jej piersi maskował obszerny beżowy sweter. Poradził jej, by ubrała się ciepło, więc mógł obwiniać za to tylko siebie. Związała włosy, przeciągnęła je nad paskiem baseballowej czapki i splotła w warkocz. Wyglądała jak nastolatka, a nie jak dojrzała wykształcona kobieta.

Włożyła jasnozielony zakiet i owinęła szyję różowym szalikiem.

- Jestem gotowa - oznajmiła.

- Wspaniale. Myślę, że trafił nam się świetny dzień na zwiedzanie. Świeci słońce, a wiatr nie jest silny. Musimy się pospieszyć, jeśli chcemy zdążyć na prom. Udało mi się zdobyć bilety na pierwszą. Mieliśmy szczęście. To były ostatnie dwa miejsca. Gdybym ich nie dostał, musielibyśmy bardzo długo czekać.

Gdy dotarli do Battery Park, Ryan zapłacił taksówkarzowi, chwycił Lucy za rękę i wyciągnął ją z samochodu.

- Musimy pędzić - oświadczył, ruszając sprężystym krokiem w kierunku portu, w którym stał prom.

Kiedy spojrzał na Lucy i zobaczył na jej zaróżowionej twarzy promienny uśmiech, wyszczerzył zęby jak przekorne dziecko. Wyglądała na szczęśliwą.

- Nie biegłam tak szybko już od dawna - oznajmiła, nie mogąc złapać tchu, kiedy dotarli do kolejki oczekujących.

- Ja też nie. Ale dobrze nam to robi.

- Z pewnością - dodała, patrząc na niego z rozbawieniem, a on otoczył ją ramieniem i lekko do siebie przyciągnął.

- Jeśli chcesz, możemy pobiegać jeszcze trochę po obejrzeniu Statui.

- Chyba jednak wolę chodzić - odparła, a on skwitował jej uwagę wybuchem śmiechu.

Dotarli do punktu odprawy pasażerów w chwili, w której potężne silniki promu zaczęły pracować pełną parą. Ryan wyjął z kieszeni bilety i wręczył je kontrolerowi.

- Jak je zdobyłeś? - zapytała Lucy. - Czyżbyś miał znajomości we władzach portu?

- Załatwiłem wszystko przez internet - odrzekł z uśmiechem. - To naprawdę wspaniały wynalazek.

Weszli na pokład i ustawili się w miejscu, z którego mogli obserwować południową dzielnicę Nowego Jorku, morze i majaczący w oddali stan New Jersey.

- Cóż za cudowny widok! - zawołała z zachwytem Lucy, patrząc w kierunku Statui Wolności.

- Kocham to miasto.

- Czy nigdy nie chciałeś mieszkać gdzie indziej?

- Za nic w świecie! A ty? Czy masz jakieś ulubione miejsce na ziemi?

- Nie. Dość długo mieszkałam u siostry, ale w gruncie rzeczy nigdzie nie czuję się u siebie.

Ryan usłyszał jej słowa, choć wypłynęli już z zatoki, więc zagłuszał je lekki wiatr. Zdał sobie sprawę, że jego sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Ciężko przeżył śmierć matki, ale ojciec zawsze dbał o to, by zapewnić mu miejsce, w którym mógłby się czuć jak w domu. A kiedy starszy pan O'Doherty podupadł na zdrowiu, on z kolei otoczył opieką swoje siostry. Zawsze czuł się mocno związany z rodziną...

Lucy zadrżała, więc otoczył ją ramieniem i przytulił. Jej bliskość sprawiała mu wielką satysfakcję.

- Jak ci się tu podoba? - spytał, kiedy zbliżyli się do Liberty Island.

- Znacznie bardziej, niż się spodziewałam.

- Co to ma znaczyć? Czyżbyś przypuszczała, że dzień spędzony w moim towarzystwie nie będzie przyjemny?

- Nie byłam tego pewna.

- Widzę, że chcesz zranić moje ego.

- Ono jest tak rozbudowane, że nic mu nie zaszkodzi. A poza tym nie chcę pokładać zbyt wielkich nadziei w naszej znajomości, bo boję się, że znów oblejesz mnie kubłem zimnej wody.

- Bardzo zabawne. I to mówi kobieta, która jeszcze przed tygodniem nie chciała się do mnie nawet uśmiechnąć.

Prom dopłynął do przystani i został przycumowany, więc zeszli po trapie z resztą pasażerów. W ciągu następnych dwóch godzin zwiedzali wyspę i słuchali wyjaśnień przewodnika, który opowiadał dzieje posągu.

- Czy możemy wejść na górę? - spytała Lucy.

- Tam jest remont, więc musieli zamknąć najwyższy poziom. Wrócimy tu, kiedy go otworzą.

- Och, bardzo żałuję, bo chciałam spojrzeć na świat jej oczami.

Na twarzy Lucy malował się tak wielki zawód, że Ryan nie mógł oprzeć się pokusie i pocałował ją przelotnie w usta.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo wydawałaś mi się bardzo smutna. - Zerknął w kierunku wierzchołka posągu. - Mój ojciec przywoził tu mnie i moje siostry, kiedy byliśmy dziećmi. Co rok każde z nas miało prawo wybrać jakieś miejsce położone na terenie Nowego Jorku. Ja zawsze wybierałem tę wyspę. Byłem niezadowolony, kiedy jedna z moich sióstr zawsze chciała zwiedzać Metropolitan Museum.

- Czyżbyś nie lubił sztuki?

- Lubię ją, ale dla dwunastolatka wizyta w muzeum była ciężką karą.

- Pewnie często wspominaliście te wyprawy. - W głosie Lucy dała się słyszeć nuta melancholii, a Ryan wyciągnął rękę i uściśnął lekko jej dłoń.

- Spotykamy się zawsze w okresie świąt. Przypominamy sobie czasy dzieciństwa i świetnie się bawimy, ale... - Przerwał i głęboko odetchnął. - Ale w tym roku nie będzie z nami ojca.

- Widzę, że bardzo ci go brakuje.

- To prawda, ale nie pozwolę, żeby smutne myśli zakłóciły nasz wspólny dzień. Czy chciałabyś zobaczyć Ellis Island?

- Jasne. Jeśli mamy dość czasu.

- W takim razie chodźmy. To było miejsce, w którym poddawano kontroli wszystkich przybywających do Ameryki imigrantów. Pokażę ci w księgach nazwisko pierwszego O'Doherty'ego, który przybył do tego kraju. Może znajdziemy tam wpis dotyczący któregoś z twoich przodków.

Lucy nie była pewna, czy będą w stanie zidentyfikować na liście imigrantów jej protoplastę, bo zdawała sobie sprawę, że nazwisko Edwards jest bardzo popularne. Ale zwiedzanie miasta sprawiało jej tak wielką przyjemność, że nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

Jej związki z rodziną były luźne i nie spotykała się ze swoimi krewnymi już od dawna. Nie miała nawet ochoty na rozmowę z własną siostrą.

Może nadszedł czas, by zmienić ten stan rzeczy?

Oboje z Ryanem stali na górnym pokładzie promu płynącego z Liberty Island na Ellis Island. Wiał lodowaty wiatr, ale Ryan objął ją tak mocno, że nie odczuwała chłodu. Przekrzykując warkot silników, opowiadał jej różne historie dotyczące dziejów miasta i jego okolic.

- Jesteś wspaniałym przewodnikiem, ale mówisz czasem tak szybko, że rozumiem tylko pierwsze i ostatnie słowa - oznajmiła z uśmiechem, kiedy skończył kolejną anegdotę.

- Więc może będzie lepiej, jeśli przestanę się odzywać - powiedział, dotykając lekko wargami jej ust.

Poczuła przyspieszone bicie serca i nagle zdała sobie sprawę, że chyba jest w nim zakochana.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy schodzili z promu i wkraczali na teren Ellis Island National Monument, trzymała Ryana za rękę. W tym budynku byli zakwaterowani imigranci, którzy zyskali wolność i nowe obywatelstwo. Ryan oprowadził ją po różnych poziomach, przystając przed czarno-białymi portretami ludzi, którzy mieszkali na tej wyspie.

- Chodź, rzucimy okiem na tę księgę - powiedział, kierując się w stronę szklanej gabloty, w której leżał stary rejestr nazwisk napisanych wyblakłym atramentem.

Pociągnął Lucy w kierunku umieszczonego na ścianie ekranu komputera. Był tak podniecony jak dziecko, które chce pochwalić się zabawką.

- Musisz tylko napisać swoje nazwisko...

- Ty pierwszy. - Niewiele wiedziała o drzewie genealogicznym własnej rodziny.

- Dobrze. - Ryan wystukał na klawiaturze swoje nazwisko.

Na ekranie pojawił się wykaz wszystkich osób z rodziny O'Dohertych, którzy przejechali przez Ellis Island.

- Widzisz, to mój dziadek - oznajmił, pokazując jej palcem małego chłopca. - Był wtedy jeszcze dzieckiem. A to jest jego rodzeństwo. Cała dziewiątka. - Przesunął ręką po liście nazwisk. - Nie wyobrażam sobie, jak można mieć dziewięcioro potomstwa - stwierdził ze zdumieniem. - Dwoje to w moich oczach już niezły dorobek.

Serce Lucy ścisnęło się z bólu. Ona była już matką jednego dziecka.

- Chyba masz rację - wyszeptała.

- Przepraszam, nie powinienem był tego mówić. Wzruszyła ramionami.

- Nic się nie stało. Muszę nauczyć się z tym żyć. Taka jest rzeczywistość i nie mogę jej zmienić.

Ryan przytulił ją i pocałował w czubek głowy.

- Opowiedz mi o tym dziadku albo lepiej... o pradziadku, który przywiózł tu całą swoją rodzinę - poprosiła.

- No cóż, on był Irlandczykiem i pragnął lepszego życia. Zamieszkał w Brooklynie i ciężko pracował, żeby utrzymać rodzinę, która była dla niego najważniejsza.

- A twoi rodzice?

Odwrócił wzrok, jakby nie chciał odpowiadać na to pytanie, a potem na nią spojrział.

- Mama wyszła za mąż za przystojnego policjanta, często odwiedzającego tanią restaurację, w której pracowała. Zawsze mówiła, że zakochała się w jego irlandzkim akcencie, a dalej już samo poszło.

- Ile miałaś lat, kiedy mama zmarła?

- Trzydzieści.

- A twoje siostry?

- One są sporo ode mnie młodsze. Tata pełnił rolę obojga rodziców.

- To musiało być dla was bardzo trudne.

- Tak, ale myślę, że najtrudniejsze było dla taty. Stracił miłość życia. Był nie tylko żywicielem rodziny, ale musiał też nas wspierać, kiedy jego zdrowie zaczęło podupadać.

- Podupadać?

Zawahał się, jakby nie chciał tego wyjaśniać.

- Lekarze stwierdzili, że ma stwardnienie zanikowe boczne. To tak zwana choroba Charcota.

- Mówiłeś, że umarł, nie powiedziałaś jednak, że umierał tak powoli. To musiało być dla niego okropne. Również dla ciebie i twoich sióstr - stwierdziła ze współczuciem.

- Widziałem, jak walczy, żeby móc pracować jak najdłużej. A potem musiał zrezygnować. Patrzyłem na jego powolną śmierć. W końcu musieliśmy go umieścić w domu spokojnej starości. Omal mnie to nie zabiło...

Słuchała jego bolesnych zwierzeń z rosnącym współczuciem, zastanawiając się, jak długo trzymał je w tajemnicy. Nic dziwnego, że izoluje się od rodzin małych pacjentów, pomyślała ze smutkiem.

- Ponośiłeś odpowiedzialność za wszystkich, tak? Za niego, za siostry. Chciałeś, żebyście trzymali się razem. Żebyście jakoś przetrwali.

Spojrzał na nią pełnym zdumienia wzrokiem, jakby po raz pierwszy ktoś go zrozumiał.

- Owszem. Odwiedzałem go, kiedy tylko mogłem. Zajmowałem się siostrami...

- Jesteś dobrym człowiekiem, Ryan. - Chciała go uścisnąć, ale bała się, że on uzna jej gest za objaw nadmiernej czułości. Był przecież bardzo dumny.

- Czy państwo już skończyliście? - spytał jakiś nieznajomy, który przyszedł z żoną i dwójką dzieci.

- Tak - odparł Ryan, odchodząc od komputera. Ujął dłoń Lucy i ruszyli w stronę wyjścia.

- Nie sprawdziliśmy twojego nazwiska - przypomniał sobie, chcąc zawrócić, ale pociągnęła go za rękę.

- Zrobimy to następnym razem.

Tylko czy będzie następny raz? Byłoby bardzo miło. Przyjemnie spędza się czas w jego towarzystwie.

Weszli na pokład promu, który miał ich zawieźć z powrotem na Manhattan. Znaleźli wolne miejsca w kabinie i ukryli się przed popołudniowym, dość chłodnym wiatrem.

- Czy nie jesteś głodna?

Ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła, że burczy jej w brzuchu.

- Owszem, jestem.

- Czy przetrwasz jeszcze godzinę, jeśli postawię ci następną gorącą czekoladę?

- Chyba tak.

Sącząc czekoladę, niewiele się do siebie odzywali. Lucy była zaskoczona, że tak szybko poczuła się odprężona w towarzystwie Ryana. Między nimi wytworzyła się więź.

- Spójrz na mnie - powiedział.

- Co się stało?

Pochylił się i dotknął językiem jej górnej wargi. To był bardzo szybki i dość namiętny pocałunek, ale... zbyt krótki.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała, kiedy się wyprostował. - Mogłeś mnie uprzedzić. Wytarłabym usta.

W jego niebieskich oczach pojawił się figlarny błysk.

- Gdybym tak zrobił, nie poczułbym słodkiego smaku czekolady.

- To prawda - przyznała z uśmiechem.

Dobrze się czuła w jego towarzystwie. Patrząc w oczy wrażliwego, opiekuńczego, niezwykle inteligentnego i piekielnie dowcipnego mężczyzny, który siedział obok, zdała sobie nagle sprawę, że w jego obecności przestaje racjonalnie myśleć. Chyba zaczyna darzyć go prawdziwym uczuciem. Napawało ją to zachwytem, ale jednocześnie przejmowało lękiem. Bała się, że ten związek narazi ją w przyszłości na cierpienie.

Ryan oblizwał wargi, jakby nie chciał zostawiać na nich ani odrobiny czekolady.

- Lucy, czy masz jeszcze coś, żeby się ze mną podzielić? - spytał z szerokim uśmiechem.

- Nie - odparła urażonym tonem.

Nie mógł uwierzyć, że tak dużo opowiedział jej o ojcu. Nigdy nikomu się nie zwierzał. Starszy pan O'Doherty był bardzo dumnym mężczyzną i, czy to dobrze, czy też źle, Ryan odziedziczył po nim tę cechę. Nie dzielił się z nikim swoimi najskrytszymi przeżyciami do chwili, kiedy Lucy zapewniła mu poczucie bezpieczeństwa.

Dlaczego tak postąpił? Teraz, gdy Lucy wie o nim tak dużo, powinien czuć się nagi i bezbronny, a tymczasem ogarnęło go uczucie wielkiej ulgi, wywołane świadomością, że był w stanie opowiedzieć komuś o bólu po stracie ojca.

- Aha, miałem cię zapytać, gdzie nauczyłaś się tak dobrze mówić po hiszpańsku.

- Nauczyłam się tego języka od gosposi mojego ojca, która była Meksykanką i pracowała w jego domu w Los Angeles. Ja i Alexis spędzałyśmy z nią sporo czasu.

- I przydał ci się kilka razy...

- Tylko kilka? - spytała z nieśmiałym uśmiechem.

Ryan miał wielką ochotę ją pocałować na oczach wszystkich. Dotknął wargami jej rozgrzanych delikatnych ust, które wciąż smakowały czekoladą.

Chwyciła go za połę płaszcza i przyciągnęła do siebie, stając na palcach. Jej aprobata wzmogła jego pożądanie. Pocałował ją gorąco.

- Czy to był przyjacielski pocałunek?

Ryan wybuchnął głośnym śmiechem.

- Jak najbardziej. Chodź... - Wziął ją za rękę.

- Dokąd idziemy?

- Do mnie.

- I zobaczę te światła?

- Tak.

- Ryan, nie myślę, żeby...

- Powiedziałem, że tylko przyjemność i żadnych nacisków. Nie pamiętasz? Zwykłem dotrzymywać słowa.

Kiedy wysiedli z metra i wyszli na świeże powietrze, Lucy poczuła, że po tym pocałunku nadal uginają się pod nią kolana. Zapadał wczesny wieczór. Byli teraz w dzielnicy małych sklepików, przed których wystawami przystawali niespieszni przechodnie. Lucy była w Brooklynie po raz pierwszy, więc zachwyił ją panujący tu klimat prowincjonalnego miasteczka, leżącego przecież w obrębie ogromnej nowojorskiej metropolii.

- Mieszkam jakiś kilometr stąd. Czy chcesz pójść pieszo, czy wolisz, żebym wezwał taksówkę?

- Spacer dobrze nam zrobi. Chciałabym zobaczyć miejsca, w których dorastałeś.

Kiedy szli, trzymając się za ręce, Ryan przystanął, by porozmawiać z właścicielem sklepu, a potem przedstawił Lucy swojej byłej nauczycielce ze szkoły i jej mężowi. Inni machali do niego lub wołali go po imieniu. Społeczność lokalna była dumna ze swojego chłopca, któremu się powiodło.

- Lubisz tu mieszkać, prawda?

- Pewnie, że tak. Poza tym nie znam żadnego innego miejsca, które byłoby tak przyjazne.

- Nigdy nie myślałeś, żeby się stąd wyprowadzić?

- Nie, ta dzielnica bardzo mi odpowiada.

Gdy dotarli do budynku położonego blisko East River, Ryan zatrzymał się przed pomalowanymi na ciemny kolor drzwiami i wyciągnął z kieszeni klucze.

- Tutaj mieszkasz? - spytała, nie kryjąc zdumienia. - Cóż za piękne miejsce.

- Wejdz, proszę - powiedział, otwierając przed nią drzwi. - Zamówiłem przez telefon chińskie potrawy, które powinny niebawem tu dotrzeć. Zjemy je na tarasie.

Lucy była oszołomiona. Ryan poprowadził ją przez salon, zatrzymując się na chwilę, by zapalić światło w kuchni, a potem wyszli przez szklane drzwi na taras, na którym był płotek odgradzający go od części użytkowanej przez sąsiada. Stał tam niewielki stół z dwoma krzesłami i szeroka ogrodowa kanapa, z której można było podziwiać miasto.

- Myślę, że jest to odpowiednia pora na kolację, no i na widowisko - oznajmił Ryan.

Lucy wzięła się pod boki i posłała mu sceptyczne spojrzenie.

- Więc podtrzymujesz swoją propozycję, tak?

- Tak.

- Zatem po kolacji zacznie się pokaz świateł. Rozległ się dźwięk dzwonka.

- Pewnie przynieśli jedzenie.

Kiedy poszedł otworzyć drzwi, Lucy spojrzała na drugą stronę rzeki i zobaczyła, że cienie zaczynają padać na budynki, a kolor pomarańczowy nieba stanowi dla nich tło. Ryan mieszka w cudownym miejscu!

Po chwili wrócił, niosąc dwie torby papierowe, w których znajdowały się wspaniale pachnące potrawy.

- Może urządzimy sobie piknik? Będziemy jedli z pudełek. Oczywiście, dzieląc się sprawnie.

Zniknął z powrotem w mieszkaniu i przyniósł dwa kieliszki oraz butelkę. Bez wysiłku ją otworzył i nalał im wina. Potem wyjął z toreb pudełka i położył je na stole.

- Usiądź, proszę.

Lucy posłuchała jego polecenia.

- Czy masz widelec?

- Widelec! Do chińskiego jedzenia nie używa się widelców. - Z uśmiechem wyciągnął pałeczki. - Czy umiesz się nimi posługiwać?

- Nie bardzo.

- Pomogę ci. - Otworzył pudełko z ryżem i pchnął je w jej stronę, a potem wziął drugie dla siebie. Położył duży pojemnik z kurczakiem i brokułami na środku stołu, a następnie chwycił w palce pałeczki i zaczął nimi sprawnie poruszać. Lucy radziła sobie z nimi znacznie gorzej.

- Umrzesz z głodu, a ja wyjdę na kiepskiego gospodarza. Pozwól, że ci pomogę. - Przysunął się do niej bliżej i podał jej swoimi pałeczkami kawałek kurczaka.

Gdy skończyli jeść, Ryan wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Chodź, bo przegapimy widowisko.

Lucy ujęła jego dłoń i podniosła się z krzesła. Usiadł na kanapie i wyciągnął przed siebie nogi.

- Przyłącz się do mnie.

- Nie zmieścimy się razem. Przysunę sobie krzesło.

- Ale stąd znacznie lepiej widać - stwierdził, przesuając się, by zrobić jej miejsce.

Lucy usiadła obok niego. Owinęła się szczelniej płaszczem, a Ryan chwycił koc i zarzucił go na ich nogi.

- Lucy, unieś głowę.

Kiedy posłuchała jego polecenia, objął jej ramiona i przyciągnął ją do siebie bliżej.

- Odpreż się, Lucy.
- Ale ja jestem odprężona.
- Wcale nie. Jesteś napięta jak struna.

Lucy lekko się poruszyła, szukając wygodniejszej pozycji.

- Jeśli będziesz przybierać tak kuszące pozy, to nie odpowiadam za siebie.

Zesztywniała, a Ryan wybuchnął śmiechem.

- Żartowałem. Nie zrobię nic, czego nie będziesz chciała.

Do tej pory dotrzymywał słowa, pomyślała, ale ja pragnę, żeby coś zrobił.

Splotła ręce na kolanie i spojrzała przed siebie. Światła wielkiego miasta zaczęły migotać.

- Och, to wprost niewiarygodne. Przed chwilą widziałam, jak zapalają się światła na szczycie budynku Chryslera.

- Tak, to pięknie wygląda. - Dotknął palcami końca warkocza Lucy, który leżał na jej ramieniu.

- Dziękuję ci za to, że oglądamy to razem.

- Bardzo proszę.

Dalej obserwowali widowisko, aż kalejdoskop kolorów odbił się w wodzie rzeki. Czy może być coś wspanialszego niż widok zachodzącego słońca? Zwłaszcza jeśli ogląda się go w towarzystwie Ryana.

- Ten widok jest na pewno magnesem przyciągającym do twojego mieszkania tabuny kobiet.

- Więc uważasz, że mój seksapil nie wystarcza? - spytał przekornym tonem, pochylając się do jej ucha w taki sposób, że jego ciepły oddech musnął jej skórę.

- Myślę, że domagasz się komplementów.

- Być może. Ale przecież ci mówiłem, że rzadko zapraszam do domu obcych ludzi.

- Mówiąc „ludzi”, masz na myśli kobiety, tak?

- Tak. Jesteś jedyną kobietą, z którą podzieliłem się moim widokiem. - Ich spojrzenia się spotkały. Ryan przyciągnął ją do siebie. - Zamierzam cię pocałować. To nie będzie przyjacielski gest. Jeśli nie chcesz, musisz teraz mi to powiedzieć.

- Doktor O'Doherty jest jak zawsze dżentelmenem - wyszeptała, muskając ustami jego wargi, a on chwycił jej głowę i pocałował ją namiętnie. W końcu położyli się obok siebie.

- Uwielbiam twoje włosy - stwierdził, przesuając dłonią po jej warkocz. - Nie masz pojęcia jak często marzyłem o tym, żeby ich dotknąć.

Lucy uniosła ręce, chcąc rozpleść warkocz.

- Nie rób tego! Sam chciałbym je rozpuścić - powiedział niskim szorstkim głosem, wywołując dreszcze, które przeszły po jej ciele.

Delikatnie zsunął gumkę z końca jej warkocza. Zaczął rozpuszczać włosy tak powoli, jakby otwierał prezent, który od dawna bardzo chciał zobaczyć.

- Nie znam nikogo, kto miałby tak piękne włosy jak ty. - Szeroko rozpostarł palce dłoni i przejechał nimi po jej głowie. Włosy opadły falami na jej ramiona. Ryan ujął długi kosmyk i przytknął go do policzka, a potem zaczął ją żarliwie całować. Lucy ogarnęło pożądanie.

- Spokojnie, kochanie. Mamy przed sobą całą noc... oczywiście, jeśli będziesz chciała - oznajmił łagodnym tonem, ale malujące się na jego twarzy napięcie wskazywało, że jest równie podniecony jak ona.

Jej ręce powędrowały po jego piersi i objęły go za szyję. Potem przycisnęła mocno usta do jego warg, dając mu znać, że bardzo go pragnie. Wsunął dłoń pod jej płaszcz i delikatnie zaczął głaskać mały kawałek skóry między koszulą a spodniami, co przyprawiło ją o kolejny dreszcz.

- Lubisz to, prawda? - Ponownie się do niej przytulił, jednocześnie unosząc do góry koszulkę. Rozpiął stanik i koniuszkami palców zaczął pieścić jej piersi.

- Wstań, kochanie - wyszeptał.

- Przecież nie możemy robić tego tutaj?

- Dlaczego nie? Czyżby ci było zimno? - spytał, a potem znów zaczął ją całować.

Lucy wygięła plecy, pozwalając mu wyciągnąć spod siebie płaszcz.

- Obejmij mnie za szyję.

Wykonała jego polecenie, a on zdarł z niej koszulę oraz biustonosz i rzucił je w kąt tarasu. Zanim zdążyła opuścić ręce, zaczął całować jej sutki. Robił to niezwykle powoli, sprawiając jej niezmierną przyjemność.

- One są cudowne - mruknął, a potem ponownie je pocałował. Następnie wsunął ręce w jej dzinsy, a ona jęknęła z rozkoszy. - Jeszcze?

- Uhm - wyszeptała.

Czuła się tak, jakby już ją posiadał, a on zaledwie ją pocałował. Przesunęła niepewnie dłoń na brzeg jego swetra i zaczęła się nim bawić.

- Możesz mnie dotknąć - szepnął jej na ucho. - Prawdę mówiąc, chciałbym, żebyś to zrobiła.

Wsunęła ręce pod sweter, ale natrafiła na podkoszulek, który stanowił poważną przeszkodę. Jej celem było dotknięcie jego nagiego ciała. Ryan musiał usłyszeć jej jęk zawodu, bo pospiesznie się rozebrał.

- Zanim się zdecydujesz, mogę postradać zmysły.

- Nie chciałabym zrobić czegoś źle. Spojrzał jej w oczy.

- Przecież to nie jest twój pierwszy raz, prawda?

- Nie, ale od ostatniego upłynęło sporo czasu. Nie byłam łatwą dziewczyną.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Jestem zaskoczony, że nie miałaś setek chłopaków. Kochanie, jedyną rzeczą, którą mogłabyś źle zrobić, jest to, że nie zrobisz niczego. - Pocałował ją w obojczyk, a potem zaczął przesuwając usta niżej.

Lucy otoczyła ramionami jego szyję i przyciągnęła go do siebie bliżej.

- Czy jest ci zimno?

- Nie. A tobie?

- Też nie.

Pochylił się w stronę Lucy i poczuł na swoim torsie dotyk jej piersi. Było to bardzo podniecające.

Wiedział, że musi ją zdobyć. I to niedługo. Jej dłonie przesuwały się po jego skórze, przyprawiając go o dreszcz rozkoszy. Ale pragnął więcej. Zauważył, że jej dawna nieśmiałość nagle powróciła. Nie mógł zrozumieć, dlaczego osoba tak pewna siebie w niektórych dziedzinach, jest tak bezradna w innych.

Przyciągnął ją do siebie w taki sposób, że musiała poczuć jego nabrzmiałą męskość. Chciał, by wiedziała, jak bardzo jej pragnie.

Lucy drgnęła nerwowo, a jej reakcja jeszcze bardziej przyspieszyła bicie jego serca. Kiedy przywarła ustami do jego piersi, poczuł jej ciepły oddech. Jej namiętność była balsamem dla jego zranionego serca. Gdy jednak zaczął rozpinać jej dzinsy, Chwyciła go za rękę.

- O co chodzi, kochanie? Chcę cię tylko dotknąć.

- Ja... niedawno urodziłam dziecko. To na pewno zostawiło jakieś ślady...

Pocałował ją, by jej pokazać, jak bardzo wydaje mu się seksowna.

- Przecież to jest zupełnie naturalne - powiedział z uśmiechem. - Byłbym zdziwiony, gdyby było inaczej.

- Chwył ją za ramię. - Chodź, nadszedł czas, żebyśmy weszli do domu.

Spojrzała na niego z niepokojem, a on posłał jej zachęcający uśmiech.

- Do niczego nie będę cię zmuszał. Chcę tylko przeprowadzić mały eksperyment.

- Chyba nie jestem jeszcze na to gotowa.

- Zaraz się przekonamy. - Wstał i poczuł na ciele powiew chłodnego wiatru, który na chwilę ostudził jego pożądanie. Lucy sięgnęła po koszulkę, ale on usunął ją z jej zasięgu. - Nie będzie ci potrzebna. Owiń się kocem, a ja wezmę ubrania.

Chwył ją za rękę i otworzył drzwi do wnętrza domu, a potem, kiedy przekroczyli próg, zamknął je kopnięciem. Później poprowadził ją po kręconych schodach do sypialni.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Lucy wstrzymała oddech z zachwytem. Sypialnia Ryana miała duże okno, z którego rozpościerał się taki sam widok jak z tarasu. W pokoju paliła się mała lampa rzucająca dyskretne światło, ale nie rażąca w oczy.

Ryan podprowadził ją do łóżka i delikatnie na nim posadził, a potem cofnął się o krok i spojrzał na nią z radością. Choć była nadal owinięta kocem, poczuła się naga. Chciała mieć go blisko siebie, by przesunąć palcami po jego umięśnionym torsie. Wyciągnęła do niego rękę, ale on ścisnął tylko delikatnie jej dłoń palcami.

- Ryan... - zaczęła, usiłując wstać.

- Posłuchaj mnie przez chwilę - przerwał jej delikatnym tonem, a ona opadła na łóżko. - W tym pokoju wszystko jest dozwolone. Możemy robić i mówić, co tylko zechcemy. Pod warunkiem, że nic nie wyjdzie poza te cztery ściany.

- Czy to jest prawo Ryana O'Doherty'ego?

- Owszem.

Chcąc ukryć nerwowe drżenie rąk, mocno zacisnęła dłonie. Ryan zdjął tymczasem buty i skarpetki, a potem rozpiął dżinsy i zsunął je na podłogę. Kiedy stanął przed nią w bokserkach, objawy jego pożądania stały się wyraźnie widoczne, a ona poczuła pulsowanie w dole brzucha. Nie mogła oderwać wzroku od jego nabrzmiałego przyrodzenia. Wydawał jej się w tym momencie tak piękny jak posąg greckiego boga.

Postąpił krok do przodu i przyciągnął ją do siebie tak mocno, że niemal zabrakło jej tchu. Gdy przywarł wargami do jej ust, poczuła ogarniający ją z coraz większą siłą płomień pożądania.

- Teraz ty stań na moim miejscu, bo chcę ci się przyjrzeć - wyszeptał, wypuszczając ją z objęć i siadając na łóżku.

- Nie mogę - mruknęła, potrząsając głową i otulając się kocem. - Nigdy nie marzyłam o karierze striptizerki.

- Posłuchaj mnie, Lucy - powiedział, patrząc jej w oczy. - Chcę się z tobą kochać. Chcę, żeby nasze ciała i umysły zespoliły się w całość. Chcę mieć w łóżku odważną kobietę i wiem, że taka właśnie jesteś. Odrzuć tę szmatę.

Wzięła tak głęboki oddech, jakby zamierzała skoczyć do wody z wysokiej trampoliny, i zsunęła z siebie koc, a potem odruchowo zasłoniła dłońmi piersi.

- Opuść ręce. Chcę podziwiać twoje ciało. Posłuchała go, a on spojrzał na nią z zachwytem.

- Jesteś piękna jak bogini. Twoje włosy w cudowny sposób opadają na ramiona i biust. Chcę poczuć je na swojej twarzy. Zdejmij buty i skarpetki.

Pochyliła się, by spełnić tę prośbę, i poczuła jego wzrok na piersiach. W przyływie odwagi odgarnęła włosy na bok, by mógł je lepiej widzieć. Potem rozpięła dzinsy, zsunęła je na podłogę i stanęła przed nim w różowych majtkach.

- Wszystko albo nic, Lucy - rzekł z uśmiechem. - Możesz się rozebrać do końca lub uciec na koniec świata.

Zaniepokojona jego słowami, delikatnie zsunęła z siebie ostatnią część garderoby i usłyszała stłumiony okrzyk.

- Jesteś piękna. Idealna pod każdym względem.

Zbliżyła się do niego powoli, jak urzeczona, nie mogąc oderwać wzroku od jego oczu. Malowało się w nich pożądanie, które odczuwała każdą cząstką ciała.

Ryan rozsunął nogi, a ona weszła między nie i oparła się kolanami o łóżko. Położył dłonie na jej biodrach. Poczuła na brzuchu dotyk jego ust i zadrżała z podniecenia. Objęła oburącz głowę Ryana i mocno ją do siebie przycisnęła. Po raz pierwszy od dawna miała świadomość własnej kobiecości i zdawała sobie sprawę, że może być atrakcyjną partnerką. Siedzący przed nią mężczyzna ofiarował jej cenny dar, jakim była odzyskana wiara w siebie.

Położył się na łóżku i pociągnął ją za sobą.

- Pragnę cię, Lucy - wyszeptał. - I to natychmiast. Nie mogę już dłużej czekać. Obiecuję, że następnym razem zrobimy to bez pośpiechu. Ale teraz muszę...

Zamilkł i wniknął do jej wnętrza. Kiedy poczuł, że napięła mięśnie, lekko się cofnął, ale po chwili znów na nią naparł, tym razem delikatniej. Każdy jego ruch wywoływał w niej coraz większą rozkosz.

I nagle zdała sobie sprawę, że jest w nim śmiertelnie zakochana.

Kiedy się obudziła, świeciło słońce i słyszała rytmiczne uderzenia serca, bo policzkiem dotykała piersi Ryana, który leżał na plecach, jedną ręką obejmując jej nagie biodra. Podciągnęła róg kołdry, chcąc zakryć biust.

Czy to początek czegoś naprawdę cudownego, czy też znów wpakowała się w coś, co sprawi ból? Czy jej serce wytrzyma kolejny wstrząs?

Cieężko westchnęła.

- Hej, cóż to za dziwny odgłos? Mógłbym poczuć się niepewnie, słysząc taki jęk.

- Czyżbyś z samego rana domagał się komplementów?

- Wcale nie. Doskonale wiem, jaki jestem dobry w tym, co robię. Zwłaszcza że kiedy osiągałaś szczyt rozkoszy, wykrzykiwałaś moje imię.

Zawstydzona ukryła twarz w dłoniach, a on pocałował ją w czubek głowy.

- Lucy, czy jest coś specjalnego, co chciałabyś dzisiaj robić? - spytał godzinę później. - Muszę wpaść na chwilę do szpitala, ale potem zrobię, co tylko zechcesz.

- Sama nie wiem...

- Więc przygotuję śniadanie, a po południu zabiorę cię do hotelu St. Regis na podwieczorek.

- Lubisz podwieczorki? Myślałam, że wolisz baseball i hot dogi.

- Masz rację, ale sezon rozgrywek jeszcze się nie zaczął.

- No dobrze. Podwieczorek w St. Regis brzmi zachęcająco. Muszę tylko stosownie się ubrać. Więc gdy ty będziesz w szpitalu, ja pojedę do siebie i się przebiorę.

- W porządku.

Ryan podrzucił ją do domu, a potem pojechał do szpitala. Kiedy się rozstali, od razu zaczęła za nią tęsknić. Miała na niego tak silny wpływ jak żadna inna kobieta.

- Na razie przyjemnie spędzajmy czas, a potem zobaczymy, do czego to doprowadzi - mruknął pod nosem, wychodząc z gabinetu i idąc w kierunku parkingu.

Gdy wbiegał po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz, nie mógł się doczekać, kiedy ją znów pocałuje.

Zapukał do jej drzwi, które ktoś mu otworzył. Zaczął się zastanawiać, czy trafił pod właściwy adres.

Spodziewał się, że ujrzy elegancko ubraną kobietę z ładną fryzurą, która powita go nieśmiałym uśmiechem. Zamiast tego stojąca przed nim osoba miała potargane włosy, zaciśnięte mocno usta i zaczerwienione od płaczu oczy. Co stało się z pogodną uśmiechniętą Lucy, którą opuścił zaledwie przed kilkoma godzinami?

- Lucy, co się dzieje?

- Oni są tutaj! W mieście!

- Kto? - Przybysze z kosmosu, terroryści, pracownicy urzędu skarbowego...?

- Alexis, Sam i Emily.

- Alexis? Twoja siostra? - spytał, nie kryjąc zdziwienia. - I to wszystko?

Kiwnęła potakująco głową.

- To wspaniale. Chciałbym ich poznać.

- To wcale nie jest wspaniale! - krzyknęła, a potem odwróciła się i weszła do pokoju.

Odrzuciła do tyłu rozczochrane włosy, które po chwili znów opadły na jej twarz. Czy kobieta, która tak bardzo o sobie dbała i nigdy nie podnosiła głosu, mogła tak raptownie się zmienić? - spytał się w duchu, wchodząc do mieszkania i zamykając drzwi.

Kiedy Lucy przechodziła obok niego, chwycił ją za rękę, przyciągnął do siebie i uściśnął. Przez moment stała sztywno w jego ramionach, a potem go objęła. Po chwili poczuł, że ma wilgotną koszulę. Zdał sobie sprawę, że Lucy płacze.

- Kochanie, to nie ma sensu. Jeśli liczysz na moją pomoc, musisz powiedzieć, o co chodzi.

- Wcale na nią nie liczę.

- Ale ja chciałbym ci pomóc. - Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę łóżka. - Usiądźmy, a ty mi powiesz, dlaczego jesteś tak bardzo zdenerwowana.

- Ryan, nie chcę teraz o tym mówić. Przepraszam, że nie pójde na podwieczorek, ale chciałabym zostać sama.

- Nie zostawię cię w tym stanie.

Lucy zamierzała wstać, ale chwycił ją za rękę i powstrzymał.

- Powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi.

- Alexis chce się ze mną zobaczyć - odparła po dłuższej chwili milczenia.

- To jasne, że chce się z tobą zobaczyć. Przecież jesteś jej siostrą.

Lucy ukryła twarz w dłoniach.

- Oczywiście, że pójdziesz na to spotkanie. Zwłaszcza żeby zobaczyć Emily. To twoja rodzina. Przyjechali tu z tak daleka...

- Jeśli ją zobaczę, od razu się domyśli.

- Czego się domyśli?

Spojrzała na niego. Miała twarz wykrzywioną z bólu.

- Ty tego nie zrozumiesz - wyrzuciła z siebie. - Tu nie chodzi o Emily, tylko o mnie. - Kilkakrotnie uderzyła się w piersi. - O to, jak ja się czuję. O to, jak nie powinnam się czuć.

- Więc powiedz mi, jak się czujesz. Wbiła wzrok w podłogę.

- Jestem zazdrosna o to, co ma siostra. O jej szczęście. O jej idealną rodzinę, w której nie ma dla mnie miejsca. Kiedy jestem z nimi, czuję się nieszczęśliwa, a co gorsza, nienawidzę się za to. Najlepszą rzeczą dla nich i dla mnie jest trzymać się od siebie z daleka.

Ryan poczuł silny ucisk w sercu. Dla niego rodzina była najważniejsza.

- Lucy, nie mówisz poważnie. Zajmowałem się moimi siostrami, ojcem, kiedy umierał, i zrobiłbym to ponownie, gdybym musiał. Na tym polega rola rodziny.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Nie jestem tobą.

- Jesteś bardziej do mnie podobna, niż ci się wydaje - odparł spokojnym tonem.

Czyżby źle ją zrozumiał? Jak mógł zainteresować się kimś, kto nie docenia znaczenia rodziny? Wziął głęboki oddech, starając się zapanować nad emocjami.

- Lucy - zaczął kojącym głosem, mając nadzieję, że w ten sposób nakłoni ją do mówienia i bardziej racjonalnego myślenia. - Zgodziłaś się nosić jej dziecko. Poświęciłaś jej kawałek życia. To są gesty świadczące o tym, że się o nią troszczysz. Ona jest twoją siostrą. Ta więc pozostanie, nawet jeśli zechcesz się przed nią ukryć.

Lucy dała za wygraną. Straciła całą chęć do walki. Ryan otoczył ją ramionami i mocno przytulił. Objęła go tak, jakby był jej ostatnią deską ratunku.

- Kochanie, musisz zobaczyć się z siostrą. Pozbądź się tych złych uczuć.

- Wobec tego chodź ze mną.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. Myślę, że powinnaś pójść sama.

- Ale jeśli pójdziesz ze mną jako moje wsparcie moralne? Przecież mówiłeś, że chciałbyś poznać moją siostrę.

- No dobrze - odparł po zastanowieniu. Postanowił, że zrobi to dla niej. Chciał, żeby była szczęśliwa.

Lucy zarzuciła mu rękę na szyję.

- Dziękuję. Jestem ci bardzo wdzięczna...

- Ależ bardzo proszę, kochanie - odparł z uśmiechem, przelotnie ją całując. - Kiedy mamy się z nimi zobaczyć?

- Zatrzymali się w apartamencie w pobliżu Times Square. Firma Sama trzyma go dla podróżujących pracowników. Alexis chciała zamieszkać u mnie, ale powiedziałam jej, że mam tylko kawalerkę. Zaproсили mnie dzisiaj na kolację.

- Okej. Zadzwoń więc do siostry i daj jej znać, że przyjdiesz. Upewnij się też, czy nie ma nic przeciwko temu, żebym zjawił się tam z tobą.

Kiedy wykonała jego polecenie, odwrócił ją i lekko popchnął w stronę łazienki.

- Idź i doprowadź się do porządku.

Dwadzieścia minut później weszła do pokoju. Miała na sobie płaszcz kąpielowy, a jej włosy były owinięte ręcznikiem.

Ryan siedział na niewielkiej kanapie, a jego marynarka wisiała na oparciu krzesła. Przy uchu miał telefon. Z pytań, które zadawał rozmówcy, wynikało, że dyskutuje z kimś, kto jest w szpitalu. Uniósł głowę i uśmiechnął się do niej zachęcająco. Lucy chwyciła bieliznę i weszła do garderoby, zastanawiając się, co na siebie włożyć.

Ryan zdjął z wieszaka niebieskawozieloną wełnianą sukienkę.

- Podobasz mi się w niej - oznajmił i powiesił ją na znajdującym się na drzwiach haczyku. - Miałaś ją na sobie, kiedy trzeciego dnia przyszałaś do pracy.

- I ty to zauważyłeś? - Nie miała pojęcia, że tak uważnie jej się przyglądał.

- Owszem, zauważyłem wiele związanych z tobą rzeczy - stwierdził, całując ją w szyję.

- Jak się czujesz, kochanie? - spytał Ryan, kiedy czekali na windę, która miała ich zawieźć na piętro, gdzie mieszkała Alexis.

- Wcześniej było lepiej.

- Weź głęboki oddech - poradził, gdy wsiadali do kabiny.

Posłuchała jego rady.

- A teraz daj mi rękę. - Wyciągnął do niej dłoń i uśmiechnął się, dodając jej otuchy.

Drzwi windy otworzyły się i znaleźli się na klatce schodowej. Kiedy zbliżali się do apartamentu Alexis, Lucy zacieśniła uścisk, jakby chciała czerpać z niego siłę.

- Dasz sobie radę - wyszeptał Ryan, cmokając ją w ucho.

Kiwnęła głową i wyprostowała plecy, a Ryan zapukał do drzwi. Po chwili Alexis je uchyliła, wybiegła na klatkę schodową i mocno uściśnęła siostrę.

- Och, Lucy, jak miło cię widzieć! Tęskniłam za tobą - zawołała załamującym się ze szczęścia głosem, a potem wypuściła ją z objęć i spojrzała na Ryana.

- Alexis, to jest Ryan O'Doherty. On... to... mój przyjaciel - przedstawiła go Lucy.

Ryan posłał Alexis zabójczy uśmiech.

- Witaj, Alexis. Miło cię poznać. Wiem, że nie jesteście identyczne, ale widzę podobieństwo w waszych oczach.

Jego urok osobisty wyraźnie na nią podziałał.

- Wejdźcie, proszę - powiedziała, odwracając się i otwierając szerzej drzwi.

Gdy znaleźli się w salonie, zobaczyli uśmiechniętego Sama, który trzymał w ramionach małą Emily. Na jej widok Lucy zamarła. Ryan omal się o nią nie potknął.

- Lucy, tak się cieszymy, że do nas wpadłaś - powiedział Sam. - Pomyśleliśmy, że jeśli będziesz zbyt zajęta, aby tu przyjść, to my pojedziemy do ciebie.

- Cześć, uhm... Sam - wykrztusiła, skupiając całą uwagę na Emily.

- Nazywam się Ryan O'Doherty. - Mężczyźni uściśnęli sobie dłonie.

Jak ona urosła, pomyślała Lucy, wpatrując się w Emily. Jak wyładniała od czasu, kiedy widziała ją po raz i ostatni.

- Więc jesteś tym lekarzem, który wynajduje dla Lucy zajęcia i w związku z tym ona nie ma czasu, żeby do nas zadzwonić, tak? - zapytała Alexis.

Ryan spojrzał na Lucy i mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Tak, to prawda. Byliśmy bardzo zajęci - odparł, nie mając bynajmniej na myśli szpitala.

Lucy nie mogła się powstrzymać i posłała mu lekki uśmiech.

- Ryan, a to jest Emily - powiedział z dumą Sam. - Nasza córeczka.

- Dzięki Bogu, nie zabolalo mnie to tak bardzo, pomyślała Lucy.

- Usiądźcie. - Dwie kanapy ustawione były naprzeciwko siebie, a między nimi stał niski stolik. - Dajcie mi płaszcze. Pomyśleliśmy, że zamówimy kolację, w ten sposób będziemy mogli porozmawiać. - Alexis przewiesiła płaszcze przez oparcie krzesła.

Lucy zajęła miejsce na kanapie, a Ryan usiadł obok niej, lekko dotykając nogą jej kolana. Ten drobny kontakt bardzo ją pokrzepił,

- Zanim się do was przyłączę i zaczniemy rozmawiać, muszę dać Emily butelkę - oznajmił Sam. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko włoskiej kuchni, Ryan. To ulubione jedzenie Lucy.

- Nie powinno mnie to zaskakiwać, bo znalazła sobie mieszkanie nad włoską restauracją. Alexis spojrzała na Lucy.

- Naprawdę? Nie wiedziałam.

- Tak, nie miałam okazji, żeby ci o tym powiedzieć - odparła Lucy.

- No dobrze. Opowiesz mi o wszystkim w czasie kolacji. Zaraz powinni ją przynieść - oznajmiła Alexis, a potem poszła do drugiego pokoju.

Rozległ się dźwięk dzwonka.

- To nasze jedzenie - stwierdził Sam. - Hej, Lucy, czy mogłabyś potrzymać Emily, a ja pójdę odebrać zamówienie? - Wręczył jej dziecko, nie czekając na odpowiedź.

Czy jej bliskość nie przyprawi mnie o atak płaczu? - spytała się w duchu Lucy, drżącymi rękami przyciskając dziewczynkę do piersi.

Sam wyszedł, zostawiając ich samych.

- To bardzo miłutkie dziecko - zauważył Ryan. - Jesteś wyjątkową osobą, Lucy. Naprawdę mogę być z ciebie dumny - dodał, całując ją w skroń.

Po chwili wróciła Alexis.

- Widzę, że Emily dobrze się bawi, poznając na nowo swoją ciotkę. Czy ona nie urosła? - spytała, biorąc dziewczynkę od Lucy, która oddała ją z mniejszą niechęcią, niż się spodziewała.

- Tak, urosła. Czy jest dobrym dzieckiem?

- Najlepszym. - Alexis usiadła i włożyła smoczek do buzi Emily.

Po chwili do pokoju wszedł Sam i postawił pudełka z potrawami na stole, a potem przyłączył się do nich. Alexis podała mu dziecko.

- Zajmę się jedzeniem - oznajmiła. - Lucy, chodź mi pomóc. Będziemy mogły chwilę porozmawiać.

Lucy wahała się przez ułamek sekundy, a potem podążyła za siostrą.

- Lucy jest wyjątkową osobą - stwierdził Sam.

- Tak, to prawda. Bardzo wyjątkową - odparł Ryan, zerkając w stronę Lucy.

Doszedł do wniosku, że siostry mają podobne rysy twarzy i na tym koniec. Lucy była wysoka i skromna, a Alexis niska i zadziorna. Polubił Alexis, ale o wiele bardziej odpowiadał mu łagodny sposób bycia Lucy. Nawet Sam okazał jej sympatię, kiedy objął ją na powitanie. Miała rodzinę, która najwyraźniej bardzo ją lubiła. Dlaczego więc czuła się tak, jakby do niej nie należała?

- Okej, podano do stołu - zawołała Alexis.

- Lucy, jak ci się podoba ten ogromny stary szpital, w którym teraz pracujesz? - zapytał Sam, gdy usiedli.

- Bardzo mi odpowiada.

- Ona często się w nim gubi - stwierdził Ryan, uśmiechając się do niej. - Niezliczoną ilość razy groziłem, że pošlę po nią ekipę ratowniczą.

Lucy się uśmiechnęła, ale jej oczy były poważne.

- Sam, czy interesuje cię baseball? - spytał Ryan, próbując zmienić temat, a na twarzy Lucy pojawił się wyraz ulgi, kiedy panowie zaczęli dyskutować o tym, która drużyna powinna zdobyć mistrzostwo.

Gdy zapadła chwila ciszy, Ryan spojrzął na Lucy, która miała oczy wbite w talerz. Zjadła bardzo niewiele. Alexis również musiała to zauważyć.

- Lucy, czy ty dobrze się czujesz? - spytała.

- Och, tak, nic mi nie jest - odparła nienaturalnie radosnym głosem.

- Mała już zasnęła. Pora położyć ją do łóżeczka - oświadczyła Alexis. - Lucy, czy mi pomożesz?

- Oczywiście - odrzekła z niewielkim zapalem.

Zanim odeszła, spojrzała na Ryana, a on uśmiechnął się do niej pokrzepiająco.

Nigdy nie był z nikogo bardziej dumny. Toczyła emocjonalną walkę jak mistrzyni. Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, pomyślał, z przerażeniem zdając sobie sprawę, że się w niej zakochał.

Kiedy Lucy wróciła do salonu, Ryan spojrzął na nią badawczo i zmarszczył czoło.

- Musimy iść - wycedziła, sięgając po płaszcz. - Ja muszę iść.

- Nie możesz tak po prostu stąd wyjść - wyszeptał. - To sprawiłoby przykrość twojej siostrze. - Chwytał ją za ramiona, chcąc powstrzymać jej gorączkowe ruchy.

- Jeśli zostanę, sprawię jej jeszcze większą przykrość - odparła, doprowadzona do rozpacz.

W tym momencie Alexis i Sam weszli do pokoju. Lucy odwróciła się do nich plecami, biorąc z oparcia krzesła swój płaszcz.

- Musimy iść. Ryan został wezwany do pacjenta.

- A ty nie możesz zostać, Lucy? - spytała Alexis tak rozczarowanym tonem, że Lucy z bólu ścisnęło się serce.

- Muszę iść z nim, bo my współpracujemy...

- Ale nawet nie pogadałyśmy - przerwała jej Alexis.

- Ten pacjent leży na oddziale ratownictwa - skłamała, a widząc w oczach siostry zawód, ponownie poczuła ucisk w sercu.

- Och, no cóż, chyba rozumiem - oznajmiła niepewnym głosem Alexis. - Zobaczymy się jutro, dobrze?

Kiedy Lucy zerknęła na Ryana, zauważyła, że jej kłamstwa napawają go niesmakiem.

- Dam ci znać. Zadzwoń do ciebie - odparła Lucy, otwierając drzwi i wychodząc na korytarz.

- Lucy, co się stało? - spytał Ryan, gdy znaleźli się na ulicy.

- Po prostu nie byłam w stanie wytrzymać tam ani sekundy dłużej - odrzekła, idąc tak szybko, że Ryan ledwo dotrzymywał jej kroku.

- Lucy, uważam, że zachowywałaś się wspaniale.

- Nie, wcale nie... - zaczęła, z trudem wydobywając głos. - Przecież ona jest moją siostrą. Zawsze występowała w mojej obronie. Zawsze się mną opiekowała... Zawsze podtrzymywała mnie na duchu, dodawała otuchy, a ja... nawet nie potrafię cieszyć się jej szczęściem - wyszeptowała, szlochając.

Ryan chwycił ją za ramię i zatrzymał na środku chodnika.

- Lucy, posłuchaj.

- Nie chcę już o tym rozmawiać. - Gwałtownym ruchem uwolniła się z uścisku jego dłoni i szybkim krokiem ruszyła naprzód.

Ryan dogonił ją, objął i przyciągnął do siebie. Lucy nie usiłowała z nim walczyć. Po chwili uniósł rękę i zatrzymał przejeżdżającą obok taksówkę. Lucy czekała w milczeniu, aż żółty samochód stanie przy krawężniku.

- Chodź, kochanie. Pora wracać do domu.

Ryan podał taksówkarzowi swój adres.

- Nie, chcę wrócić do siebie - oznajmiła stanowczym tonem Lucy i powiedziała kierowcy, dokąd ma jechać, a on spojrzał na Ryana, czekając na potwierdzenie.

Ryan kiwnął potakująco głową.

Marzyła tylko o tym, aby wczłogać się do łóżka, zwinąć w kłębek i udawać, że nie żyje.

- Ryan, nie zwalniam taksówki. Sama trafię do domu - powiedziała, gdy kierowca wjechał w jej ulicę.

- Pójdę z tobą - odrzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Kiedy wchodzili po schodach, ich buty stukały na drewnianych stopniach. Lucy była bardzo zmęczona. Gdy po raz drugi nie mogła trafić kluczem w zamek, Ryan wziął go od niej i otworzył drzwi. Wszedł za nią do przedpokoju i zatrzasnął je za sobą.

Lucy padła na łóżko. Kiedy do niej podszedł, uniosła głowę i spojrzała na niego.

Dlaczego on nie wraca do domu?

- Chciałabym zostać sama.

- Lucy, nie odpychaj mnie. Chciałbym ci jakoś pomóc, tylko nie wiem jak.

- Zrobiłeś, co mogłeś. Byłeś ze mną. Nic więcej nie możesz już zrobić.

- Będziesz musiała tam wrócić i porozmawiać z siostrą. Zadzwoń do niej jutro rano...

- Nie mogę.

- Nieprawda. Po prostu nie chcesz tego zrobić - mruknął oskarżycielskim tonem.

Lucy zerwała się z łóżka i stanęła naprzeciwko niego.

- Jak możesz tak mówić? Zrobiłam to, co chciałeś, poszłam na spotkanie z Alexis. Czy zauważyłeś, co się stało? Nie byłam w stanie tego znieść...

- Nie, nie zauważyłem. Widziałem tylko, że próbujesz... mimo lęku. Staralaś się. Dobro twojej siostry nie jest ci obojętne. A także Emily, nawet Sama. Całej trójki.

A oni troszczą się o ciebie. Może tego nie dostrzegasz, ale ja tak... Prawdę mówiąc, nie byłabyś tak bardzo zdenerwowana, gdybyś się o nich nie martwiła.

- Nie mogę powiedzieć jej, co czuję. Nie zrozumiałaby tego. Jak mogłabym wyjaśnić coś, czego sama nie pojmuję? - Ukryła twarz w dłoniach. - Za bardzo się wstydzę.

- Naprawdę łatwiej jest zoperować mózg, niż do ciebie dotrzeć.

Lucy rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Twoje głupie żarty nie rozwiążą moich problemów. Nie możesz poprawić mojej sytuacji, nie możesz mi pomóc. Postanowiłam nie mieszać się w życie siostry. I robię to w najlepszej wierze.

- To nie jesteś prawdziwa ty. Gdzie jest ta kobieta, która zbesztala mnie na przyjęciu, dając mi do zrozumienia, że nie umawiała się na randkę? Kobieta tak bardzo intrygująca, że nie mogłem trzymać się od niej z daleka? Kobieta, która sprawiła, że chciałem się z nią związać bez względu na to, ile trudu wkładałem, aby tego nie robić? Kobieta pełna zapału do walki o pacjentów? Gdzie ona się podziała?

Lucy usiadła na brzegu łóżka.

- Sama nie wiem. Może tak naprawdę nigdy nie istniała. Tak czy owak, jestem okropną oszustką. Ciągle mówię rodzinom małych pacjentów, jak mają postąpić, a nie umiem uporządkować własnego życia. Jestem beznadziejna... Ryan, dobry z ciebie człowiek. Opiekowałeś się ojcem, siostrami, a teraz pojawiłam się ja i wkroczyłeś w moje problemy, chcąc mi pomóc. Ja, niestety, nie mogę zrobić tego dla ciebie. Nie chcę rujnować ci życia. Myślę, że muszę zostać sama i wszystko przemyśleć. Ryan cofnął się, jakby uderzyła go w twarz.

- Lucy, mylisz się, i to bardzo. Po śmierci ojca przysięgłem, że nigdy nie dam się obciążyć emocjonalnymi problemami nawet najbliższych mi ludzi. Obiecałem sobie, że nie będę już otwierał się przed pacjentami ani przed nikim innym. I wtedy zjawiłaś się ty. Jesteś nieszczęśliwa na własne życzenie. Twoja siostra cię kocha. Ja się tobą zajmuję, ale ty nie chcesz zaakceptować ani tego, ani tego.

- Myślisz, że Alexis będzie mnie kochać, jeśli powiem jej, jak się czuję?

- Tak. Udowodniła, że bardzo troszczy się o twoje dobro, przyjeżdżając z tak daleka, żeby cię zobaczyć. Zauważyłem, jak rozblęły jej oczy na twój widok. Ona naprawdę się o ciebie niepokoi. Porozmawiaj z nią, zmusz się do tego wysiłku...

- Masz rację. Jak dochodzi do tego, że najbardziej skryty człowiek na świecie żąda, abym obnażyła przed nią swoją duszę i zraniła ją jeszcze bardziej.

- Lucy, jesteś bystra i wrażliwa. Nie odpychaj Alexis. I mnie... - Usiadł obok niej i objął ją ramieniem. - Chciałbym być nieodłącznym elementem twojego życia. Wiem, że nie jest to najbardziej odpowiedni moment... do diabła, pewnie najgorszy w historii ludzkości, ale muszę ci wyznać moją miłość. Kocham cię, Lucy.

Jej serce zaczęło gwałtownie bić. Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Proszę cię, przestań. - Wstała i podeszła do okna, doskonale zdając sobie sprawę, że do końca życia będzie tego żałować, ale musiała tak postąpić.

Ryan ujął ją za rękę.

- Rozumiem cię lepiej, niż myślisz. Wiem, co to znaczy pragnąć czegoś, czego nie można mieć. Lucy, proponuję ci coś, co możesz mieć.

- Nie, Ryan, nie mogę pozwolić na to, żebyś mnie kochał.

Wypuścił jej dłoń i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Nie masz wielkiego wyboru - powiedział wolno i dobitnie.

- Nie rozumiesz mnie - odparła, krzyżując ręce na piersiach. - Ja nie umiem kochać. Nie wiem, co to jest prawdziwa miłość. Zawiodłam siostrę, a teraz ciebie. Jak możesz kochać tak niewydarzoną osobę jak ja? - Z całego serca chciała dać mu to, o co prosił, ale nie mogła.

Ryan popatrzył na nią z mieszaniną zaskoczenia i smutku. Potem pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Do widzenia, Lucy.

Po raz pierwszy w życiu otworzył przed kimś serce i został odepchnięty.

Kiedy znalazł się u siebie, rzucił portfel oraz klucze na kuchenny blat i poszedł do sypialni. Stał na progu i spojrzał na łóżko. Poczul silny skurcz serca na wspomnienie nocy, którą spędził tu z Lucy.

Podszedł do ciemnobrązowego fotela stojącego naprzeciwko okna, usiadł w nim, skrzyżował nogi i położył stopy na podnóżku. Światła wielkiego miasta straciły swój blask. Oparł głowę o fotel i zamknął oczy. Wiedział, że tej nocy nie zaśnie w łóżku.

Lucy wciąż ubrana, zwinęła się w kłębek pod kołdrą. Ukryła twarz w poduszce i zaczęła płakać. Nigdy nie zrobiła niczego tak okropnego. Ryan wyznał jej miłość, a ona go odtrąciła. Nie zasługuje na jego uczucie.

Spała obok niego tylko jedną noc, a już tęskniła za dotykiem jego ciepłego ciała. Co on w niej widzi? Przecież jest beznadziejna. Ma pomagać innym, a nie umie pokierować własnym życiem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Stan pacjenta jest taki, jak się spodziewaliśmy - powiedział Ryan do grupki stażystów stojących wokół niego na korytarzu neurochirurgii.

Wśród nich nie było Lucy. Kiedy tylko wyszli z sali chorych, przeprosiła ich i zniknęła. Ryan z trudem powstrzymał się, by nie śledzić jej wzrokiem. Nie zamienili ani słowa od czasu, gdy przed trzema dniami opuścił jej mieszkanie.

Następny ruch należał do niej, bo to ona go odtrąciła. Nigdy nie powiedziała, że go kocha. Trudno mu było pogodzić się z jej decyzją. Na domiar złego musieli razem pracować. On wyznał jej miłość i chciał ją wspierać, a ona wszystko to odrzuciła. Drogo za to płacił.

Ale najgorsze było cierpienie fizyczne. Bardzo jej pragnął. W nocy za nią tęsknił...

Miał kilka wolnych minut, więc poszedł do Central Parku. Kiedy minął zakręt, zauważył Lucy. Siedziała na ławce z zamkniętymi oczami. Na jej twarz padały promienie słońca, a obok niej leżał pojemnik z lunchem. Ryan pragnął do niej podejść, objąć ją i przytulić, ale na szczęście powstrzymała go od tego duma.

Lucy uniosła powieki i spojrzała na niego ze zdumieniem. Czyżby go usłyszała, czy też poczuła, że ktoś się zbliża?

- Cześć, Ryan.

Miał wielką ochotę wziąć ją w ramiona i pocałować, ale doskonale wiedział, że jeśli tak postąpi, to zechce czegoś więcej. Stał przed nią.

- Lucy, mogę z tobą chwilę porozmawiać? - spytał, wciąż jej pragnąc, mimo że złamała mu serce.

- Uważam, że powiedzieliśmy już sobie wszystko. - Rozejrzała się wokół siebie i dodała:

- Przepraszam. To było nie na miejscu. Wiem, że cię zraniłam i za to cię przepraszam.

Ryan istotnie czuł się dotkliwie zraniony, ale nie zamierzał jej tego okazać.

- Po prostu nam się nie udało... - mruknął, siląc się na obojętny ton. - Oboje jesteśmy dorośli. Wiemy, na czym polega ta gra.

Lucy zamrugnęła, a potem odwróciła wzrok.

- Ryan, posłuchaj... - Zanim zdołała powiedzieć coś więcej, zbliżyła się do nich pielęgniarka z ich oddziału.

- Cześć - powiedziała z radosnym uśmiechem.

- Czy wracasz do szpitala? - spytał Ryan.

- Tak - odparła ze zdumieniem.

- A nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebym poszedł z tobą?

- Oczywiście, że nie - odrzekła, posyłając mu olśniewający uśmiech.

- Smacznego, Lucy. - Odwrócił się i ruszył z ładną pielęgniarką w stronę szpitala.

W ciągu kilku ostatnich dni wylała mnóstwo łez i była przekonana, że nie potrafi więcej płakać. Niestety, myliła się... Widząc oddalającego się Ryana i słysząc słodki śmiech jego towarzyski, poczuła, że znów zacznie szlochać. Chwyciła pojemnik z lunchem i wrzuciła go do torby.

Większość energii pochłaniała jej troska o to, by jak najrzadziej spotykać Ryana. Ułatwiały jej to rozmiary szpitala. Nie czuła się dumna z tego, że każdego ranka sprawdza rozkład jego zajęć, że planuje składanie wizyt w pokojach pacjentów w taki sposób, aby ich drogi się nie zeszły. Jednak za każdym razem, gdy go widziała, żar podniecenia rozpałał jej ciało.

Nie musiała na niego patrzeć, aby wiedzieć, że uważnie jej się przygląda. Czuła na sobie jego wzrok. A kiedy na niego zerknęła, odwracał głowę, udając, że spogląda w inną stronę. Z jego twarzy zniknął dawny pogodny uśmiech. Nawet pielęgniarki zauważyły, że bardzo się zmienił i próbowały dociec, jaka jest tego przyczyna.

Oboje nie byli szczęśliwi, ale nie miała pojęcia, jak zmienić ten stan rzeczy, co zrobić, żeby Ryan wybaczył jej to, co do niego powiedziała.

Unikanie go szło lepiej niż trzymanie Alexis na dystans. Dwa razy dziennie dzwoniła do niej, pytając, kiedy się zobaczą. Pierwszego dnia Lucy zlekceważyła telefon od niej, a drugiego powiedziała, że jest zbyt zajęta, by się spotkać.

W końcu doszła do wniosku, że powinna porozmawiać z Alexis, że musi podjąć taką próbę. Kiedy następnego ranka wstała z łóżka, natychmiast zadzwoniła do siostry.

- Alexis, czy możemy spotkać się jutro? Wezmę sobie wolne popołudnie.

- Och, to wspaniale. Wyjeżdżamy pojutrze, a prawie cię nie widziałam. Jeśli chcesz, przyjdę po ciebie do szpitala.

Lucy nie chciała, by Alexis wpadła na Ryana.

- Nie, lepiej będzie, jeśli przyjadę do ciebie i zabiorę cię na lunch.

- Nie mogę się doczekać. Tęskniłam za tobą, Lucy.

- Ja za tobą też - wyszeptała Lucy, kiedy Alexis odłożyła już słuchawkę.

Wysiadając z taksówki, Lucy postanowiła, że wyzna siostrze prawdę.

- Czy stosunki między nami mogą się jeszcze bardziej pogorszyć? - mruknęła pod nosem, wchodząc do budynku. - Przecież kocham ją, a ona kocha mnie. Musimy przez to przejść.

Wyprostowała ramiona i zacisnęła mocno zęby, by ukryć drżenie podbródka, a potem zapukała do drzwi mieszkania siostry. Po ułamku sekundy Alexis je otworzyła, przesywając ją wzrokiem.

- Wejdz i powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi. Emily drzemie, a Sam jest na zebraniu. Mamy więc czas, żeby szczerze porozmawiać.

Lucy podążyła za nią do salonu i usiadła naprzeciwko niej na kanapie.

- Co się stało wtedy wieczorem? - zapytała Alexis. - Wiem, co mi powiedziałaś, ale znam cię na tyle dobrze, żeby zorientować się, kiedy kłamiesz. Coś się dzieje, a ja chciałabym wiedzieć co.

Lucy zdawała sobie sprawę, że musi wyznać siostrze prawdę. Alexis powinna usłyszeć tę okropną opowieść.

Skupiła uwagę na czubku swojego czarnego botka, nie będąc w stanie spojrzeć Alexis w oczy.

- Musiałam wyjechać z Atlanty.

- Musiałaś? Dlaczego?

- Bo byłam za blisko Emily. To okazało się dla mnie zbyt trudne. Myślałam, że zaczyna was to drażnić.

Alexis pochyliła się i otworzyła usta ze zdumienia.

- Nie rozumiem.

Lucy nagle zdała sobie sprawę, iż Alexis jest do tego stopnia skupiona na własnych potrzebach, że nie ma nawet pojęcia, przez co przeszła siostra.

- Alexis, dobrze wiem, że Emily należy do ciebie i do Sama, ale kiedy we mnie rosła, a moje ciało się zmieniało, coraz trudniej było mi myśleć o sobie jak o inkubatorze. Starłam się wyrzucać te porównania z głowy, ale czułam, że to dziecko jest coraz bardziej moje.

Alexis gwałtownie nabrała powietrza, a Lucy ciągnęła:

- Czy pamiętasz ten dzień, kiedy wróciłaś do domu, a Sam trzymał dłoń na moim brzuchu? Po raz pierwszy wyczuł jej kopnięcia. Miałaś mi to za złe... Zdałam sobie wtedy sprawę, że po urodzeniu dziecka będę musiała dokonać radykalnej zmiany. Zaczęłam więc składać podania o pracę. I miałam rację. We troje tworzyliście tak zgraną jedność, że do niej nie pasowałam.

- Lucy, my nie. Lucy uniosła rękę.

- Pozwól mi dokończyć, bo mogę nie być w stanie... Wiem, że moje uczucia były irracjonalne, ale nie mogłam się ich pozbyć. Po prostu byłam zazdrosna, O to, że masz Emily. O to, że masz Sama. Było mi okropnie przykro, że nie mam rodziny.

- Przecież masz. Ja jestem twoją rodziną. Lucy odwróciła wzrok.

- Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że nie mam męża, dziecka. Zazdrość zżerała mnie wewnętrznie. Musiałam uciec... Kiedy nadeszła oferta pracy, natychmiast skorzystałam z okazji. Im dłużej byłam u was, tym bardziej nasilało się to uczucie. Czułam wstręt do siebie.

Spojrzała na siostrę i dostrzegła spływające po jej twarzy łzy. Poczula, że też ma wilgotne policzki.

- Jest mi po prostu wstyd, Alexis. Bardzo cię kocham i wiem, że powinnam życzyć ci szczęścia, że powinnam opanować zazdrość. Tamtego dnia nie miałam zamiaru się z tobą spotykać... Przyszłam tu tylko dlatego, że Ryan zgodził się mi towarzyszyć. Bałam się spojrzeć ci w oczy. Przepraszam za to wszystko. Wybacz mi, proszę. Kocham ciebie, Emily i Sama.

Widząc pełen cierpienia wzrok siostry, Lucy poczuła bolesne ukłucie w sercu. Po chwili Alexis wstała, okrążyła niski stolik, który stał między nimi, usiadła obok Lucy i mocno ją przytuliła.

- Moja droga, Sam i ja też cię kochamy. Chcemy, żebyś była szczęśliwa. - Ujęła jej dłonie i spojrzała na nią posępnie. - Lucy, tak mi przykro... Powinniśmy być bardziej wrażliwi na twoje odczucia.

- Nie chcę, żeby któreś z was miało wyrzuty sumienia. Żeby cokolwiek kiedykolwiek nas poróżniło.

Alexis ponownie ją objęła, a potem tuliły się do siebie, dopóki obie nie wybuchnęły śmiechem.

- Dostyc płaczu. Zadzwońię do Sama i zapytam, kiedy wróci do domu. Poproszę go, żeby został z Emily, bo my chcemy wypuścić się do miasta i spędzić beztroski wieczór we własnym towarzystwie.

- To mi się podoba - powiedziała Lucy, nie kryjąc wzruszenia. - Okropnie za tobą tęskniłam.

- A ja za tobą. Czy znasz tu jakieś dobre sklepy, w których można zrobić zakupy?

- Myślę, że w domu towarowym Macy jest wszystko, o czym możemy zamarzyć. I jeszcze więcej.

Nagle usłyszały dochodzący z sąsiedniego pokoju płacz, który obwieszczał, że Emily właśnie się obudziła.

Kilka godzin później szły ulicą, niosąc torby z zakupami.

- Czy chciałabyś zobaczyć moje mieszkanie? - spytała z uśmiechem Lucy.

- Bardzo chętnie - odparła Alexis.

- Wobec tego chodźmy. Pokażę ci, jak podróżują prawdziwi nowojorczyści.

Zeszła po schodach na stację metra. Pół godziny później szły wąskim nierównym chodnikiem w kierunku jej domu.

- Cóż za piękne miejsce - stwierdziła Alexis. - Gdybym miała przenieść się do tak wielkiego miasta, to chciałabym zamieszkać w takiej właśnie dzielnicy.

- Rozumiem cię, ale ode mnie nie ma takiego widoku na miasto jak z okien Ryana w Brooklynie.

Przez cały dzień o nim myślała. Bardzo jej go brakowało. Marzyła tylko o tym, by w jakiś sposób wymazać to, co mu powiedziała i przywrócić dawny układ.

Chwilę później siedziały przy stole i piły mrożoną herbatę.

- Powiedz mi coś o Ryaniu. Skąd wiesz, co widać z jego okien? - spytała Alexis, patrząc na nią podejrzliwie.

- Bo to widziałam - wyjąkała, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

- Naprawdę? Wiedziałaś, że coś was łączy. Tobie naprawdę na nim zależy, tak?

- Owszem. Za bardzo. Ale wszystko popsułam.

- Jak to? - Alexis postawiła szklanke na stole i pochyliła się w stronę Lucy.

- Och, Alexis, on wyznał mi miłość. Alexis zapiszczała z zachwytem.

- To wspaniale!

- Ale ja go odtrąciłam.

Oczy siostry rozszerzyły się z niedowierzania.

- Dlaczego?

- Powiedział mi to, kiedy wyszliśmy od ciebie. Byłam potwornie zdenerwowana. Uważałam, że nie może czy nie powinien kochać kogoś, kto jest zazdrosny o własną siostrę.

Alexis westchnęła i chwyciła ją za rękę.

- Czy nie tak postępują mężczyźni? Wybierają najgorszy moment, kiedy mamy mętlik w głowie, żeby po raz pierwszy wyznać nam miłość.

- Okropnie go zraniłam. Teraz nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

- Lucy, masz tylko powiedzieć mu, że też go kochasz.

- A co będzie, jeśli zmienił zdanie? Alexis prychnęła.

- To znaczyłoby, że jest szalony.

- Prawie z sobą nie rozmawiamy.

- Myślę, że nie doceniasz ani siebie, ani jego. On nie zrobił na mnie wrażenia człowieka, który zrezygnowałby łatwo z kochanej kobiety.

- Sama nie wiem...

- Lucy, ty się szalenie zmieniłaś. Jesteś bardziej samowystarczalna, bardziej pewna siebie. I szczerza do bólu. Na pewno uda ci się zmusić go do wysłuchania tego, co masz do powiedzenia. Jeśli nie będzie chciał, to jego strata.

Moja też, pomyślała za smutkiem Lucy.

Ryan wyłączył komputer. Przyszedł do niego e-mail od Mathersona, w którym prosił o spotkanie z nim i z Lucy.

Ryan i Lucy po raz ostatni rozmawiali w parku ponad tydzień temu. Poprzedniego dnia nawet nie pojawiła się na wieczornym obchodzie. Mimo woli zastanawiał się, gdzie wtedy była, i odczuwał niepokój.

Niechętnie musiał przyznać, że poczuł wielką ulgę, kiedy tego popołudnia wśliznęła się do pokoju zabiegowego, gdzie przeprowadzał kontrolne badanie pooperacyjne Miguela Rivery. Zauważył, że obcięła włosy. Teraz były rozpuszczone i sięgały jej do ramion. Wyglądała zachwycająco. Choć lubił, kiedy były długie, ta wersja również zapierała mu dech w piersiach.

Zamiast swojego zwykłego niepozornego ubrania, miała na sobie prostą spódnicę, jasnoniebieską bluzkę i różnokolorowy sweter, podkreślający kształt piersi.

Na jej widok ciotka Miguela wyraźnie się rozpromieniła. Chwilę porozmawiały, a potem Lucy spojrzała na Ryana i nieśmiało się do niego uśmiechnęła.

Odchrząknął.

- Czy możesz tłumaczyć? - spytał szorstko. Jej uśmiech przygasł.

- Tak.

- Proszę jej powiedzieć, że stan Miguela jest dobry. Że wykonała świetną robotę.

Poczekaj, aż Lucy przekaże pani Rivera jego uwagę.

- *Gracias* - podziękowała mu kobieta z serdecznym uśmiechem.

- Poproś, żeby przyprowadziła do mnie Miguela za sześć tygodni.

Lucy przetłumaczyła jego słowa na hiszpański, lekko się uśmiechając.

- Jesteś bardzo ładnym chłopcem - stwierdził Ryan, biorąc malca na rękę.

Ciotka Miguela powiedziała coś do Lucy, a potem wzięła od Ryana dziecko i ruszyła w stronę drzwi.

- Ona stwierdziła, że też jesteś ładny, a ja przyznałam jej rację - oznajmiła Lucy.

- Czy dostałaś e-maila od Mathersona?

- Owszem.

- Wobec tego zobaczymy się u niego.

- Oczywiście. - Spojrzała na niego tak, jakby chciała coś dodać. Kiedy jednak milczała, Ryan wyszedł.

Bał się, że jeśli zostanie, może zrobić coś, czego będzie żałował. Miał wielką ochotę wziąć ją w ramiona i błagać, by raz jeszcze przemyślała swoją decyzję, by zmieniła zdanie. Chciał powiedzieć, że zrobi wszystko, aby stosunki między nimi dobrze się ułożyły.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy Lucy otworzyła drzwi i weszła do działu personalnego, ujrzała siedzącego tam Ryana. Zerknął na nią, a ona obdarzyła go niepewnym uśmiechem, na który nie zareagował.

Czy on kiedykolwiek mi wybaczy? - spytała się w duchu.

- Chodźmy, miejmy to już za sobą - mruknął, wstając i przechodząc obok niej.

- Wejdźcie, proszę... i usiądźcie - powiedział Matherson, kiedy zapukali do drzwi jego biura.

Zajęli miejsca na krzesłach.

- No więc - zaczął Matherson, siadając wygodniej na fotelu. - Jak układa się wasza współpraca?

- Świetnie - odparli oboje równocześnie, nie patrząc na siebie.

- Czy to jest wszystko, co macie mi do powiedzenia? - spytał Matherson, marszcząc brwi. - Czy może doktor O'Doherty wyrazi się jaśniej?

- Myślę, że w zasadzie idzie tak, jak się spodziewałem. Nie bardzo tego chciałem i nie zmieniłem zdania. Jedyna różnica między tym, jak sobie radziłem z pacjentami wcześniej i teraz, polega na tym, że muszę wzywać pannę Edwards, zanim spotkam się z chorym. A to zajmuje sporo czasu.

- Doktor musiał na mnie czekać tylko dwa razy - wybuchnęła Lucy. - Jestem tutaj nowa i dopiero poznaję rozkład tego szpitala. Nie sędzę, żeby to miało jakikolwiek wpływ na efektywność mojej pracy.

- Więc uważa pani, że ten projekt ma swoje zalety? - spytał Matherson.

- Owszem. Wspomagam emocjonalnie pacjentów i ich rodziny. Robię to, czym często chirurg się nie zajmuje. Tak, z punktu widzenia chorych, ma to duże znaczenie.

- Tak, ale nie ma pewności, czy ta pomoc jest niezbędna, kiedy pacjent leży na oddziale nagłych przypadków.

- Czyżby, doktorze O'Doherty? Zdawało mi się, że docenił pan moją pomoc, gdy potrzebował pan tłumacza - oznajmiła z irytacją.

- To prawda, przyznaję - odparł, patrząc na Mathersona. - Wtedy panna Edwards okazała się bardzo przydatna.

- Czy sugeruje doktor, że to, co robię, nie jest tak ważne jak to, co robi wszechpotężny, wszytkowiedzący chirurg? - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Poza tym nie powinno się od nas wymagać, żebyśmy razem uczestniczyli w przyjęciu pożegnalnym Jacka Cartera.

- Więc nie bardzo się udało? - spytał Matherson z miną świadcząca, że jest zadowolony z ich wymiany zdań.

- Czy jest tam ktoś? - rozległ się za drzwiami czyjś głos.

- Proszę mi wybaczyć. Zaraz wrócę - powiedział Matherson, wychodząc z pokoju.

- O co ci chodzi? Czy miałaś na myśli coś szczególnego? - spytał Ryan, pochylając się w jej stronę.

- Owszem. Prawdę mówiąc, miałam.

- Wobec tego, dlaczego mu o tym nie powiedzieć. Jestem pewny, że to go zainteresuje. Jakoś wcześniej nie sprawiało ci trudności wyrażanie swoich opinii.

- Ryan, proszę, nie tutaj - wyszeptała.

- Dlaczego nie? Przyznam się, że cię pocałowałem. A co więcej, że tobie się to spodobało.

- Proszę, on może usłyszeć...

Nagle wstał, podniósł ją z krzesła i przywarł wargami do jej ust.

Lucy nigdy nie czuła się tak cudownie. Objęła go za szyję, rozkoszując się chwilą, której nie oczekiwała. Której nie spodziewała się ponownie przeżyć. Nic się dla niej nie liczyło poza dotykiem jego ust.

Gdy usłyszeli głośne chrząknięcie, gwałtownie od siebie odskoczyli. W drzwiach stał Matherson, który miał bardzo zaszokowaną minę.

Lucy zrobiło się gorąco. Nie śmiała spojrzeć Mathersonowi w oczy. Była do tego stopnia przerażona zaistniałą sytuacją, że zaczęła drżeć.

- Muszę już iść - oznajmiła i wyszła z pokoju, a potem z działu personalnego. Podeszła do wind i wsiadła do pierwszej kabiny, której drzwi się otworzyły.

Kiedy ją opuściła, zdała sobie sprawę, że znajduje się w nieznanym jej skrzydle szpitala. Wskoczyła z powrotem do windy i zjechała na dół.

Stał przed drzwiami pokoiku Lucy, opierając się o ścianę. Skrzyżował ręce na piersi i czekał. Tym razem nie miał nic przeciwko temu. Nadal czuł na wargach smak jej ust. Odwzajemniła mój pocałunek, pomyślał z radością, więc być może nie wszystko jeszcze jest stracone.

Kiedy kilka minut później Lucy pojawiła się na korytarzu, stłumił uśmiech. Po jej minie zorientował się, że znów jest w bojowym nastroju. To jest Lucy, jaką znał i kochał...

- Czyżbyś znowu się zgubiła? - zapytał, gdy podeszła bliżej.

- Przeklęte windy - mruknęła, wkładając klucz do zamka. - Nie życzę sobie, żebyś ze mnie drwił. Jak śmiałeś się tak zachować w obecności Mathersona?

Poczuł zapach jej perfum i miał ochotę ją objąć, ale opanował tę pokusę.

- Jeśli nie zaczniesz mówić do mnie grzeczniej, gotów jestem zrobić to samo jeszcze raz.

- Wykluczone.

- Dlaczego, Lucy? Czyżbyś się bała, że mój pocałunek sprawi ci przyjemność? Przecież to ty cały czas mówisz o odwzajemnianiu uczuć.

Przekręciła klucz i weszła do pokoju, a on ruszył za nią, zanim zdążyła zamknąć drzwi.

- Tobie nic nie grozi, ale ja mogę stracić pracę - warknęła ze złością.

- Nic podobnego. Powiedziałem Mathersonowi, że chcę nadal z tobą pracować.

- Naprawdę? - zapytała jakby uspokojona, a potem zmarszczyła gniewnie brwi. - Nie wyobrażaj sobie, że jeśli nasza współpraca potrwa dłużej, to będziesz miał prawo mnie całować, kiedy tylko zechcesz.

- Owszem, tak właśnie uważam. Co więcej, myślę, że ty mnie kochasz.

Spojrzała na niego z oburzeniem i uśmiechnęła się ironicznie.

- Widzę, że jest pan bardzo pewny siebie, doktorze O'Doherty.

Postąpił krok do przodu i popatrzył jej w oczy.

- Pocałuj mnie, Lucy.

Oparła dłonie na jego ramionach i spełniła tę prośbę, a on objął ją mocno i przesunął palcami po jej włosach.

- Jak mogłaś je obciąć? - spytał ze zdumieniem.

- Doszłam do wniosku, że muszę coś zmienić. Nie chodzi tylko o fryzurę. Byłam przez pewien czas tak ogłupiona zazdrością, że nie potrafiłam logicznie myśleć. Odbyłam długą rozmowę z Alexis i odkryłam, że traktowałam ją od dawna jak anioła stróża. Teraz muszę znaleźć własną tożsamość.

- Czy nadal chcesz mieć to, co ona?

- Nie - odparła, chwytając go za rękę. - Chcę mieć znacznie więcej. Męża i mnóstwo dzieci.

- Czy mogę zapytać, kogo widzisz w roli ich ojca?

- Miałam nadzieję, że to ty zechcesz nim zostać. Kocham cię, Ryan. Z całego serca.

- Czy jesteś pewna, że nie chcesz, abym zastąpił ci Alexis?

- Oczywiście. Po raz pierwszy w życiu czuję, że posiadam jakąś własną osobowość. Mogłabym sama dać sobie radę, ale wcale tego nie chcę. Chcę ciebie.

Ryan przytulił ją do piersi. Przez dłuższą chwilę stali nieruchomo, wsłuchani we własne myśli. Potem pochylił się i zbliżył usta do jej ucha.

- Ja też cię kocham - wyszeptał. - I nigdy nie przestanę.

